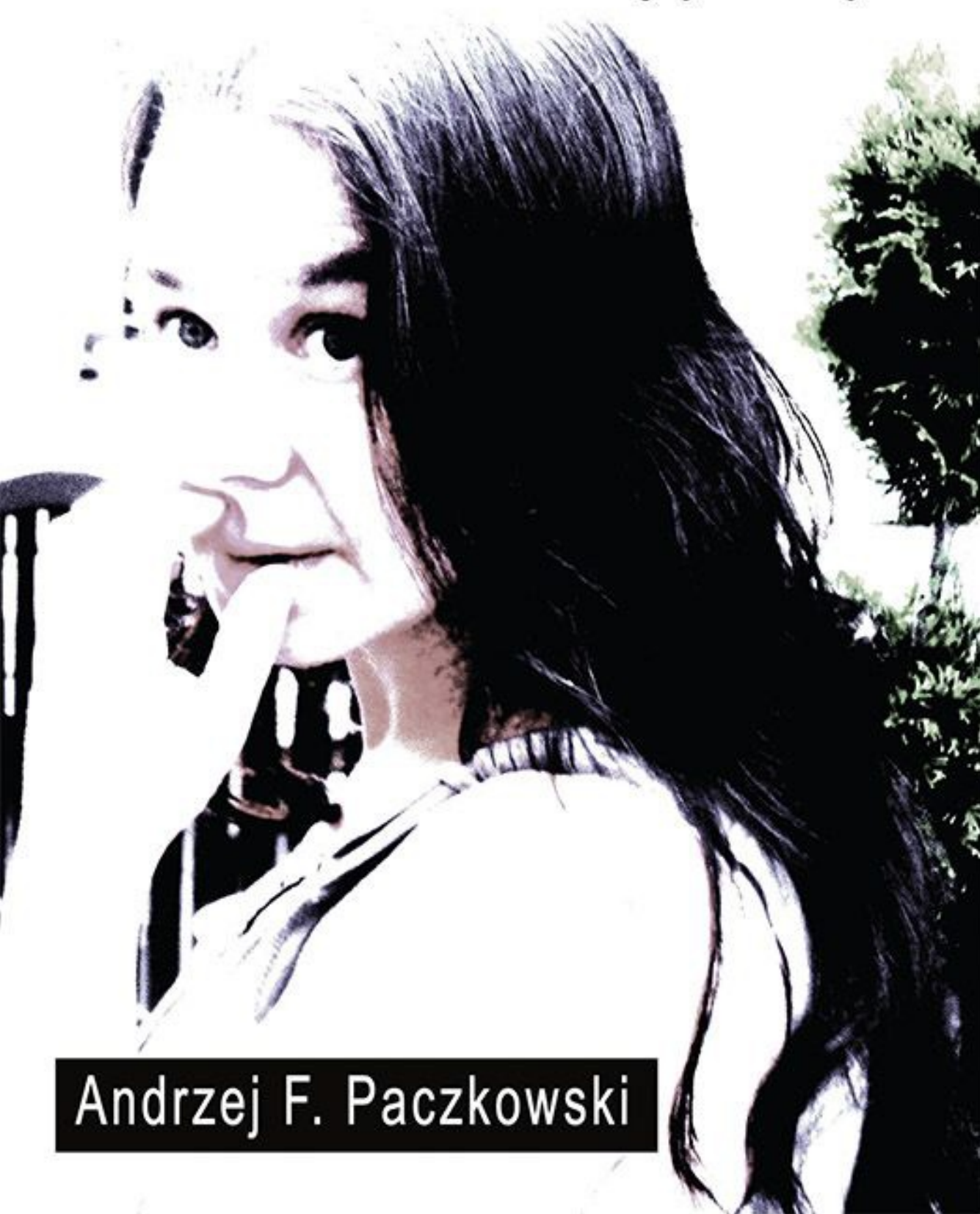


Teraz rozumiem swoją matkę



Andrzej F. Paczkowski

Andrzej F. Paczkowski

Teraz rozumiem swoją
matkę

Kiedy poznałam Roberta, zakochałam się w nim bez pamięci. Od pierwszego spojrzenia miałam pewność, że to jest ten jedyny, prawdziwy, ten wymarzony i wytęskniony mężczyzna moich marzeń. Miałam osiemnaście lat i nie widziałam poza nim świata.

Wracając do tamtego czasu widzę siebie: młodą dziewczynę, piękną, o wielkich i czystych oczach przepełnionych nadzieją i wiarą, wyjątkowo naiwną, ponieważ wyrastałam pod kloszem, sokolim wzrokiem mojej matki, pilnującej mnie jak oka w głowie. Wierzyłam w przyszłość, w dobre życie, wierzyłam w księcia z bajki, który, co prawda, nie miał przyjechać na białym koniu, ale pewnego dnia miał się pojawić, oczarować, zbałamucić, zrobić ze mnie kobietę i trwać ze mną do końca. Mieliśmy wspólnie przeżyć długie i szczęśliwe życie, z gromadą pięknych dzieci i... Moja głowa była pełna marzeń!

Gdy Robert stanął na mojej drodze, oto spełniło się moje życzenie, bo przecież w życiu tak ma być, że jeśli czegoś mocno chcemy, dostajemy to. Wystarczy chcieć być szczęśliwym, a szczęśliwym się będzie. Tak to działało. Taka tajemnica życia, której należało się nauczyć, choć nie każdemu się to udawało. Więc moje życie było na najlepszej drodze do tego spełnienia.

I spełniło się.

A potem przyszedł największy koszmar, o którym nawet nie śniłam...

W wieku siedemnastu lat prawie każdego dnia przebywałam w kościele. Matka dawno temu, miałam wtedy

zaledwie sześć lat, została opuszczona przez ojca, który od tamtego czasu już więcej się u nas nie pokazał. Ciocia Gosia mówiła, że ojciec: „uciekał, jakby go sam diabeł gonił. Kurzyło się za nim na drodze jeszcze drugiego dnia”.

Nie wiedziałam jeszcze wtedy, co to oznaczało, ale często zastanawiałam się, dlaczego tata tak uciekał na łeb na szyję. Czy było mu z nami źle? Może ktoś mu wyrządził krzywdę? A może po prostu nie potrafił przyzwycząić się do życia rodzinnego na wsi oraz do matki, ponieważ, tu znowu przytoczę słowa cioci: „był miastowy i nie miał rodziny. Na wsi się dusił, a twoja matka jak już raz na niego wsiadła, to mu uprząży nie popuściła. Musiał uciekać, bo inaczej by go wykończyła.”

Tęskniłam za ojcem i często wypytywałam mamę o niego, ta jednak za każdym razem mocno zaciskała usta, mówiąc:

- Był szubrawcem i obieżyświatem, i nigdzie nie umiał zagrzać miejsca. Nie zależało mu na nas, więc i nam nie zależy na nim.

I tym kończyła rozmowę, odwracając się za każdym razem w drugą stronę.

Kiedyś też podsłuchałam rozmowę cioci Gosi z sąsiadką, ciocią Baśką:

- No siło go, że ho ho. Za babami ganiał, ogona poskromić nie umiał i aż się rwał, by zamaczyć go wszędzie, w każdej napotkanej dziurze. A Genia myślała, że go usidliła. Takich jak on się nigdy nie udaje zamknąć w klatce. Bo to ciągle oczy mu latały na wszystkie strony jak nakręcone, a jak babę widział, to jakby psa z łańcucha spuszczano.

Wiedziałam te wszystkie rzeczy, niestety nie potrafiłam ich jeszcze zrozumieć, bo byłam za młoda. Może to i dobrze, bo zachowałam obraz dobrego ojca. Przecież musiał być dobry, jeśli kochał mamę i mnie też kochał, jak mówiła mama. Tylko źli ludzie nie kochają.

Miałam dokładnie sześć lat, gdy odszedł, a właściwie lepiej by było napisać: przepadł jak kamień w wodę. Bo kiedy furтка się za nim zamknęła, zniknął po nim ślad. Był, a potem jakby go nie było.

Kiedys w salce na religii (bo na religię chodziło się do przykościelnych salek, nie tak jak teraz w szkole) zapytałam księdza Andrzeja, dlaczego mój ojciec odszedł. Byłam przecież naiwnym dzieckiem i miewałam wiele pytań, jak wszyscy w moim wieku. A ksiądz odpowiedział na to tak:

- Twój ojciec pojawił się u was, aby właśnie ciebie sprowadzić na świat. Wyobraź sobie, że gdyby ojca nie było, nie byłoby też ciebie i twoja mama byłaby nieszczęśliwa i samotna. A tak teraz macie siebie nawzajem i życie jest lżejsze. Tak zarządził wszystko Bóg, ojciec się pojawił i odszedł, ponieważ nic nie trwa wiecznie, a wszystko, oprócz wiary, jest ulotne. Powinnaś dziękować Panu za ojca, nawet jeśli go nie ma, bo dał ci życie. A jeżeli odszedł, taka była Jego wola...

Może i taka była wola Boga, ale czasami z tego powodu bywałam smutna i nieszczęśliwa. Bo po odejściu taty, matka przestała się śmiać i już nigdy nie była taka wesoła jak dawniej.

Często wyobrażałam sobie, że matka znowu będzie taka

jak kiedyś, ale z wiekiem, gdy mijały lata, musiałam pogodzić się z myślą, że sytuacja raczej się już nie zmieni, a mama pozostanie taka jaka jest, a nawet powinnam liczyć się z tym, że będzie znacznie gorsza. Bo ludzie z wiekiem nie pięknieją i nie zmieniają się na lepsze, a ich charaktery, no cóż, twardnieją.

W wieku jakichś czternastu lat porozmawiałam o tym z księdzem, był to niezwykle dobry człowiek, stateczny, wysoki o ciemnych włosach przyprószonych już wtedy siwizną, ze zmarszczkami wokół ust. Te zmarszczki miał od uśmiechu, ponieważ ksiądz Andrzej dla każdego miał ciepłe słowo i uśmiech rozjaśniający twarz. Zachowywał się jak biblijny pasterz: wszystkich otaczał swoją dobrocią i obdarzał uwagą.

- Po odejściu ojca matka zmieniła się, zamknęła w sobie i już nigdy się nie uśmiechała. Zaczęła chodzić do kościoła. Stała się strasznie wścibska, kontroluje mnie często i, mam wrażenie, że odsunęła się od wszystkich, zestarzała się, a ma dopiero trzydzieści osiem lat.

- Zdarza się, że kiedy ktoś bardzo nam bliski rani nas, ludzie, nie potrafiąc znieść bólu, zamykają się w sobie lub szukają oparcia w Bogu. Czasem więcej niż się powinno. Zauważyłem, że twoja matka często przebywa w kościele i usilnie oraz w wielkim skupieniu się modli. Wierzę też, że jej wiara jest silna i czysta. Ona po prostu nie potrafiła sobie poradzić z pustką, jaką twój ojciec pozostawił odchodząc, więc odnalazła sens w wierze. Zawsze tak bywa, że kiedy przeżyjemy jakiś wstrząs lub jakiegokolwiek inne silne

przeżycie, staramy się, nawet o tym nie wiedząc, poszukiwać sensu. Właśnie tak czyni twoja matka.

- Ale zrobiła się taka... zgorzkniała.

- Możliwe, ale pomyśl tylko: jeżeli jej dusza była bardzo delikatna, to po zranieniu już nigdy nie mogła się odrodzić do swego pierwotnego stanu. Jeżeli gdzieś tam czuje ból, zgorzknienie jest jedną z pierwszych rzeczy, jakie łamią człowieka i z czego ciężko się wygrzebać. Widocznie matka była zbyt delikatna a niestety, choć świat był piękny, to życie nie było usłane różami. Czasem człowiek natrafi na kolec takiej róży a wtedy właściwe było, że leciała krew. Trzeba tylko wiedzieć, jak odpowiednio zalepić ranę. Chyba, że kolec był wyjątkowo wielki, a rana ciągle krwawiła i żaden zabieg nie pomagał. To już jest znacznie cięższy przypadek...

- Myśli ksiądz, że to się kiedyś zmieni?

- Nie wiem. Wiem, że nie takiej oczekujesz odpowiedzi, ale nie ma na to przepisu. Wszystko zależy od niej. To ona musi chcieć zmiany, powrotu. Tylko, pamiętaj duszko, nie zawsze jest to możliwe. Dlatego staraj się matkę zrozumieć, bo cierpienie jej jest wielkie i bądź dla niej ostoją i podporą.

- Tu ksiądz Andrzej spojrział w niebo. - Pewnie takie masz zadanie. Bo jakkolwiek to córka powinna poszukiwać wsparcia u matki, szczególnie w tak młodym wieku, to jednak czasami bywa odwrotnie.

Podziękowałam mu za przechadzkę i za rady, za możliwość porozmawiania i wyrzucenia z siebie tego wszystkiego, co mnie gryzło. Czułam się po tych rozmowach

bardziej oczyszczona niż po spowiedzi świętej i zawsze było mi jakoś lżej na duszy.

- Pamiętaj, że Bóg wyznacza nam tylko takie problemy, z którymi zawsze możemy sobie poradzić. Nigdy nie jest na odwrót.

I jak to bywało na zakończenie, zawsze gładził mnie po włosach tą swoją silną i wielką ręką i rozstawaliśmy się. Patrzyłam w ślad za nim, kiedy długa do ziemi czarna sutanna powiewała na wietrze. Był to niezwykły człowiek.

Po takich rozmowach oczywiście przez parę dni byłam dzielna, pełna wiary, siły i wszelkich chęci. Ale, jak to w życiu bywa, wzniosłe chwile zawsze kiedyś mijają i znów musi nadejść czas bezsilności, zapomnienia. Bo człowiek bardzo szybko zapomina...

Mama bardzo mnie pilnowała. Jeżeli poszłam się bawić, to co chwilę musiałam meldować się, że jestem cała i zdrowa, najlepiej kiedy bawiliśmy się na naszym placu, bo tutaj miała mnie pod dozorem. Do szkoły chodziliśmy zawsze w grupach, a kiedy zdarzało się, że danego dnia musiałam pójść sama, mama ubierała się elegancko i odprowadzała mnie. Oczywiście z wiekiem coraz częściej się o to wyklócałyśmy, i z czasem (chwała Bogu!) mama dała się namówić na większą swobodę.

Naprzeciwko nas mieszkała Zuzia, koleżanka, z którą chodziłam do szkoły, dom dalej - Grzesiek, a na końcu drogi, jakieś trzysta metrów dalej - Kornelka z Adamem, rodzeństwo. Tworzyliśmy grupę przyjaciół od najmłodszych lat. Razem chodziliśmy wczesnym rankiem na roraty, och,

jakże uwielbialiśmy ten czas, gdy idąc przez kościół zalany w ciemnościach środkową nawą trzymaliśmy dumnie ręcznie robione, zapalone lampiony! Razem urządzaliśmy sobie swoje własne topienie Marzanny, ponieważ rodzice Zuzi z tyłu domu mieli mały staw. Razem obchodziliśmy swoje urodziny, a w szkole wszyscy siedzieliśmy w najbliższych ławkach, oprócz Adama, który był starszy o dwa lata.

Wspaniałe było to, że będąc dziećmi nigdy nie myśleliśmy o naszym dorosłym życiu. Każdy z nas chciał być kimś, to rozumiałe, ale nigdy nie zastanawialiśmy się, jakie niespodzianki przyszykuje nam los.

A dla mnie i dla moich przyjaciół nie miał być łaskawy. Zresztą może nawet to i dobrze, że nie wiemy, co nas czeka, ponieważ jaki sens miałyby wówczas życie? Przecież gdyby kiedyś ktoś mi powiedział, że poznam pięknego wymarzonego rycerza, bez zbroi, a rycerz ten podaruje mi najpiękniejsze lata mojego życia, a potem zada niemalże śmiertelny cios w plecy, czy nadal tak bardzo cieszyłabym się tymi mającymi nadejść latami?

Zuzia zawsze mówiła, że będzie projektantką mody. Ona już w wieku sześciu lat miała w domu niesamowitą kolekcję ubrań, parę razy dziennie potrafiła się przebierać, a nawet malować, choć to nie za bardzo podobało się jej mamie.

Grzesiek marzył, że będzie strażakiem. W domu trzymał metrowej długości wóz strażacki, jego rodzice wydali na to chyba fortunę. Wszędzie też latał z konewką w kształcie słonia, zawsze pełną wody i „gasił” pożary. A gdyby przypadkiem wybuchł pożar gdzieś w pobliżu, często taki

wyimaginowany wybuchał parę razy na dzień, a Grzesiek nie miałby u siebie z jakichś powodów konewki, to zawsze pozostawało wyjście awaryjne: ściągał swoje gacie i sikał w odpowiednie miejsce. Często się zdarzało, że i na nasze głowy, bo przecież ogień ma to do siebie, że potrafi zapalić się wszędzie! A kiedy zapalał się na naszych głowach, po ugaszonym pożarze i uratowaniu nam życia, okazywało się, że jesteśmy niewdzięczne, ponieważ nie chcemy z nim mieć nic wspólnego. Przeganiałyśmy go patykami, czasem udało nam się go nieźle zdzielić przez łeb, a wtedy uciekał z płaczem i w biegu widziałyśmy powiększającą się plamę na jego spodniach.

Grzesiek nie był jedyną osobą, która wtedy płakała, ponieważ przy gaszeniu pożaru płaczem wybuchala również Kornelia. Z całej naszej paczki płakała najczęściej, moczyła się jeszcze w wieku dziewięciu lat, a jej marzeniem było zostać matką. Wszędzie nosiła z sobą małą lalkę, którą opiekowała się, dawała jeść i pić, przebierała i układała do snu, śpiewając kołysanki. Kornelka ze swoją Malwinką nawet spała, bo, jak mówiła, „Malwinka bała się ciemności”. Dopiero znacznie później zrozumiałam, że tak naprawdę to ciemności nie bała się Malwinka, ale sama Kornelia...

Adam znów chciał zostać kucharzem. Pomagał matce w kuchni, na strychu miał schowane puste opakowania po budyniach, czekoladach, cukrze, mące i cukierkach, dlatego też często bawiliśmy się u nich w „sklep”. Robiliśmy u niego zakupy (puste opakowania napełniało się papierami aby wyglądały na pełne i zaklejało taśmą klejącą, lub sklejało

żelazkiem), co niezmiernie nam wszystkim się podobało. Na polu swych rodziców Adam urządził sobie specjalne miejsce, gdzie gotował, a potem zapraszał nas na wystawne obiady składające się z zielonej zupy z trawy, babek piaskowych, jarzębinowych puree, sałatki szczawiowej czy nawet z prawdziwych muchomorów rosnących pod laskiem, znajdującym się nieopodal.

A więc projektantka mody, strażak, kucharz, pełnoetatowa mama oraz ja: księżniczka, po którą pewnego dnia przyjedzie rycerz.

Z początku owszem, w marzeniach widziałam go w lśniącej zbroi i na białym koniu, tak przecież wyglądał w bajkach, z czasem jednak zaniechałam myśli o koniu i zbroi, przecież to nie były te czasy...

Miałam „złoty” diadem, który dumnie nosiłam na głowie dokądkolwiek tylko szłam. Często też ciocia Basia wykrzykiwała na mój widok:

- Nasza księżniczka! Chodź, kochanie, do cioci...

W wieku sześciu lat naprawdę byłam księżniczką! Potraficie to zrozumieć? Dzieciństwo to najszcześniejszy dany nam okres w życiu. Świat kończy się za lasem, doba jest długa i niemalże niekończąca się, wiara potrafi czynić cuda, matka jest dla ciebie jedynym horyzontem, poza nią nie widzi się już nic, a marzenia... tak, wtedy marzenia mogły się spełniać.

Naszym ulubionym zajęciem była wymiana opakowań po czekoladzie! To nas naprawdę łączyło. Zbieraliśmy je wszyscy, do środka wkładało się robione przez ojca Adama i

Kornelki (którego nigdy nie lubiłam) drewniane płytki wielkości tabliczki czekolady, zaklejało i tym samym mieliśmy opakowania przypominające czekolady, (miały zupełnie inne nadruki niż te dzisiejsze).

W szkole nauka najgorzej szła Kornelce. Nazywano ją złośliwie Tępą Strzałą. I tak już pozostało aż do końca szkoły. Zresztą Kornelka miała z nas najbujniejszą wyobraźnię, wiele rzeczy potrafiła zmyślić na poczekaniu i nigdy nie można było być pewnym, czy mówi prawdę, czy też nie.

Zuzia była klasową strojnisią i trzeba powiedzieć, że już od pierwszej klasy biegał za nią szwadron chłopaczków, którym naprawdę się podobała. Chłopacy z wiekiem coraz bardziej droczyli się między sobą, niemalże każdego dnia dochodziło między nimi do sprzeczek czy bójek, bo trzeba powiedzieć, że Zuzia z wiekiem, choć nie była blondynką a szatynką, zaczęła wzbudzać zainteresowanie, gdziekolwiek się pojawiła, co później doprowadziło do tragedii...

Grzesiek, no cóż, ten obrał sobie za zadanie pilnowanie naszej trójki. Zawsze stał nieopodal, obserwował, przyglądał się, a gdyby ktoś zrobił coś nieodpowiedniego, wkraczał do akcji. Był masywniejszej budowy ciała niż większość chłopaków z klasy, znacznie od nich wyższy, więc szybko wypracował sobie respekt. Było parę złamanych nosów, palców, raz wybił komuś górną dwójkę. Jego rodzice najczęściej bywali w szkole i chyba z nas wszystkich dostał najwięcej lania. Miał wyrosnąć na silnego przystojniaka...

Adam w szkole nie miał dla nas czasu, zresztą nie

zadawał się z małolatami, jak powiadał przed kumplami, więc spotykaliśmy się z nim wyłącznie po szkole.

Ja uczyłam się, można powiedzieć: średnio na jeża. Nie byłam ani dobra ani tępa jak Kornelka, po prostu byłam. Moją najmocniejszą stroną było czytanie. Ubierałam się skromniej niż Zuzia i reszta klasy, zresztą my nie byliśmy tak bogaci, więc nie mogłam mieć wszystkiego tego, co miewała Zuzia czy ładnie ubrana Kornelia.

Moja mama była sprzątaczką. Wychodziła najczęściej rano, kiedy byłam w szkole, czasem też wieczorami. Gdy jej nie było opiekowała się mną ciocia Basia lub ciocia Gosia, które przychodziły do nas, lub ja do nich (co zdarzało się częściej).

Ciocia Basia nie miała swoich dzieci i była starą panną. Ludzie śmiali się z niej i wytykali palcami, dzieci często robili jej psikusy, rzucali czymś w okno, dzwoniли na drzwi, krzyczeli zaczajeni w krzakach obrastających jej dom. Powiadano, że nikt jej nie chciał, bo była głupia już od urodzenia, gdy wypadła swojej matce z rąk, prosto na głowę. Nie wiem jak to się stało, bo zbyt wiele się nie dowiedziałam, ale było mi jej żal i dlatego kochałam ją jeszcze mocniej. Czułam to samo od niej w stosunku do mnie. Miała cały dom dla siebie, trochę już zaniedbany, bo nie potrafiła wszystkiego ogarnąć. Oczywiście z czasem zauważyłam, że wybuchała niepohamowanym śmiechem. W wieku czterdziestu lat czerwieniła się podczas rozmów o mężczyznach, ale tylko wtedy, kiedy miała gorsze dni, ponieważ zdarzało się, że komunikowała się również tak,

jakby była zupełnie normalna. Ale czy to ważne, jaki ktoś jest? Przecież tacy już się rodzą i nic tego nie zmieni, choroby i inności się nie wybiera, to one wybierają nas. Ważne jest to, jaki ten człowiek jest dla innych i jeśli ma dobre serce, nie powinno się go traktować źle, bo na to nie zasługuje. A moja ciocia zasługiwała na dobre traktowanie, dlatego starałam się przeganiać dokuczających jej śmiazków. Ciocia miała też jedną wielką wadę: bardzo lubiła roznosić po wsi wiadomości...

Matkę Zuzi nazywałam ciocią Gosią, ponieważ również z nią się zżyłam, była mi prawie jak rodzina. Na wsi to normalne, że sąsiedzi to ciocie i wujkowie, babcie czy dziadkowie...

Ciocia Gosia nosiła się godnie i zawsze chodziła na szpilkach, czy lato czy zima (kiedyś nawet na szpilkach pojechała w zimie w góry!). Wujek Tomasz, jej mąż, jak mówiono, przywiózł ją z Warszawy, kiedy tam jeszcze pracował. I choć oczywiście miała inne maniery, i żyła na wyższym poziomie niż my, to jednak była tak samo miła jak ciocia Basia. W domu u Zuzi było czysto i schludnie, pierwsi na wsi mieli łazienkę w domu, a raz na jakiś czas odbywały się u nich wystawne imprezy, kiedy to zjeżdżali się ludzie z miasta, których określano mianem „szychy”. Bo ciocia pracowała w urzędzie, a wujek w Warszawie w jakiejś wielkiej firmie, skąd przyjeżdżał do domu na weekendy. Najczęściej można go było spotkać w ogrodzie, o ile w domu nie mieszkali goście.

Fryzura cioci Gosi też nie miała nic do zarzucenia, bo raz

w tygodniu odwiedzała ulubiony salon fryzjerski, gdzie obskakiwano ją z każdej strony i jako jedyna zawsze piła tam kawę, stąd też jej zawsze idealnie zaczesane włosy.

Do kościoła chodziło się w niedziele i święta, ale kiedy miałam już czternaście lat, zauważyłam, że mama modli się częściej, w domu pojawiło się znacznie więcej obrazków z podobiznami świętych, nagminnie też w tygodniu ganiała na msze wieczorne, jeżeli pozwalała jej na to praca. Może to dlatego, iż widziała, że jestem dosyć dorosła na zostawianie mnie w domu, w końcu rosłam, mądrzałam i nie byłam dzieckiem z mrzonkami o rycerzu, bo jak wiadomo kiedyś z tego musiałam wyrosnąć.

Lubiła mnie zabierać ze sobą, niestety szkoła zabierała mi coraz więcej czasu, Zuzia wyciągała do miasta, a świat przyciągał mnie szalenie. W tym samym czasie Zuzka zaczęła palić papierosy, malować się i wyzywająco się ubierać. Miała też swojego chłopaka, o którym nikomu nie opowiadała, oprócz mnie. A jej chłopak miał dwadzieścia lat! Zuzia z naszej klasy jako pierwsza najszybciej się „rozwinęła” i oczywiście wszystkie dziewczyny bardzo jej zazdrościły. Każda chciała nosić biustonosze, niestety, nie było ku temu powodu...

Moja mama należała do osób czystych i schludnych. W domu zawsze musiał być porządek, największe sprzątanie urządziło się oczywiście w soboty, to wtedy cały dom pachniał i lśnił, a my padałyśmy wieczorem ze zmęczenia, ale z zadowoleniem na twarzach.

W soboty też piekło się ciasto na niedzielę. Od

najmłodszych lat mama uczyła mnie gotowania, pieczenia oraz odpowiedzialności. Bo, jak mówiła, kiedyś przecież będę musiała wyjść za mąż, a żaden chłopak mnie nie będzie chciał, jeżeli będę miała dwie lewe ręce.

Nie buntowałam się, ponieważ pokochałam domowe prace, lubiłam patrzeć na doskonale wyrośnięte i upieczone ciasto, pachnące w całym domu, na umyte, pozbawione kurzu podłogi, czyste okna i, jak mama, lubiłam kiedy wszystko leżało na swoim miejscu.

Więc zapowiadałam się jako doskonały materiał na przyszłą żonę!

Jeszcze zanim ukończyłam podstawówkę, potrafiłam ugotować wszystko i w kuchni nie było rzeczy, której bym nie potrafiła odpowiednio przygotować. Tym samym wyręczałam często mamę z obowiązków, a ona, jak tylko znalazła trochę czasu, biegła do pobliskiego kościoła.

Zuzia zmieniała chłopaków jak rękawiczki. Mając piętnaście lat chodziła z nieznanym mi trzydziestolatkiem i z nim też przeżyła swój pierwszy raz. Była w nim bardzo zakochana, obiecywał jej złote góry, a ona wierzyła we wszystko, co od niego usłyszała. Nauczyła się też brać jakieś narkotyki, o których powiedziała mi w najwyższej tajemnicy. Jeździła po dyskotekach, a jej duże piersi zrobiły się jeszcze większe. Bałam się o nią, bałam się narkotyków jak ognia (choć nie wiem skąd u mnie to przerażenie się brało), dlatego ostrzegałam ją, że nie powinna tego świństwa brać, tym bardziej, że nie jest jeszcze pełnoletnia, a same narkotyki są przecież zabronione.

Z czasem zaczęliśmy się oddalać od siebie, a kiedy ukończyliśmy podstawówkę, nasze drogi się rozeszły. Wtedy też w wieku szesnastu lat, Zuzia zaczęła się ciąć. Z początku wyglądało to na takie buntowanie się przeciwko młodości, ona chciała być dorosła, mieć osiemnaście lat i wynieść się ze wsi do wielkiego miasta. Marzyła o zupełnie innym życiu.

Brała po prostu żyletkę kupioną w kiosku Ruchu i na rękach wycinała sobie serce z inicjałami swojego aktualnego chłopaka. Oczywiście tak, by nie lała się krew, nie była aż tak głupia. Chwaliła się tym sercem przed wszystkimi. Jedne dziewczyny pukały się w głowę, mówiąc, że jest głupia, inne jej zazdrościły, bo przecież żaden chłopak za nimi nie latał, a każda chciała mieć swojego adoratora. A ja? Mnie za każdym razem przechodził dreszcz, kiedy patrzyłam na jej pociętą rękę.

Z czasem zauważyłam przyglądającego się Zuzce Grzesia, najczęściej robił to z ukrycia. Czasami też przyłapywałam go na lekcjach gapiącego się na nią i zupełnie nie uważającego na lekcjach. Grzesiek przystojniał z roku na rok, niestety nie był zupełnie typem Zuzki, więc nie miał u niej żadnych szans. Tym bardziej, że akurat zaczął przechodzić mutację, a na jego twarzy pojawiały się każdego dnia nie dodające mu urody wypryski skórne, z czego często śmiały się dziewczyny. Młodość w szkole bywa okrutna!

Często przyłapywałam się na tym, że rozglądałam się za Adamem. Był wysoki i kiedy miałam szesnaście lat, oczywiście nie chodził już do naszej szkoły, ale widywałam go będąc u Kornelki w domu, albo kiedy wracał drogą ze

szkoły. Podkochiwałam się w nim, ale tylko do czasu, kiedy Kornelka pewnego popołudnia zwierzyła mi się, że pomiędzy nimi doszło do stosunku seksualnego! Nie mogłam w to uwierzyć, tym bardziej, że podkochiwałam się w nim od długiego czasu. No i oczywiście to kazirodztwo! To się w głowie nie mieściło! Od najmłodszych lat Adam bawił się z nią w doktora. Z czasem zabawa przerodziła się w coś zupełnie innego. Adam był silny i w wieku osiemnastu lat postanowił sprawdzić jak to jest, kiedy chłopak kocha się z dziewczyną. Zaprowadził Kornelkę do stodoły i tam na sianie kazał jej się rozebrać i położyć. Może się to komuś wyda dziwne, ale dla mnie było to możliwe, ponieważ Kornelka zawsze we wszystkim ulegała, była cicha i taka najbardziej z nas wszystkich zamknięta w sobie. Nauczona była, że jeśli brat jej rozkazywał, to miała spełniać jego prośby. Dlatego kiedy rozszerzyła posłusznie nogi, od razu się na niej położył. Pozwoliła mu zrobić to, do czego z wiadomych powodów pomiędzy nimi nigdy nie powinno dojść.

Z początku się wystraszyła, czując wielki ból, wrywała się, jednak brat był silny i nie miała najmniejszych szans na ucieczkę, zresztą było już za późno. Wszedł w nią bez problemu, przyciskając jej rękę do ust, by nie krzyczała. A kiedy po wszystkim zobaczyła na sianie i nogach krew... naiwna Kornelka dopiero wtedy zrozumiała, że zrobili coś złego. Oczywiście nie powiedziała tego nikomu i kiedy zakomunikowałam jej, że to był najprawdziwszy gwałt i powinna to zgłosić na policję, kategorycznie odmówiła i

zagroziła, że jeżeli komuś coś tylko wspomnę, ona nigdy się nie przyzna i wszyscy będą myśleli, że zwariowałam. Wiem, że się bała Adama i wiem też, że jeszcze parę razy przychodził do niej i kazał jej rozchyłać nogi, a ona się na to zgadzała...

Od tamtego czasu przestałam go wyglądać, a kiedy dochodziło pomiędzy nami do spotkania, starałam się czym prędzej odchodzić, ponieważ nie mogłam mu spoglądać w twarz i bałam się by czasem nie doszło do sytuacji, że zostanę z nim sam na sam.

Po skończeniu szkoły coś się stało z naszą przyjaźnią. Już nie byliśmy taką zgraną paczką, już nie chodziliśmy razem, skryci w ciemnościach na „rabsa”, czyli najzwyczajniej w świecie kraść sąsiadom gruszki czy jabłka. Kiedyś to była niezła frajda, to całe drzenie ciała, strach, że nagle zostaniemy nakryci. Skończyły się wspólne ogniska, gry w „dwa ognie” na ulicy, w chowanego i cała reszta dalszych spraw. Nagle po prostu dorośliśmy, choć jeszcze nie byliśmy tak zupełnie dojrzałi.

Parę dni przed zakończeniem szkoły Zuzia miała pocięte wyraźnie już obie ręce. Nie było na nich serc, ale zwykłe pasy od cięć zadanych żyłką, krwawiących. Bo wtedy Zuzia już musiała widzieć wypływającą spod skóry czerwoną krew. Uspokajało ją to...

Dzień odebrania świadectw był dla mnie jednym ze smutniejszych dni. Cała klasa szła się bawić, pić. Ja wróciłam sama do domu. Mama zakazywała mi gdziekolwiek chodzić i nie daj Boże, żebym się upiła!

Nie był to dla mnie szczęśliwy dzień i nie rozumiałam dlaczego wszyscy tak się cieszą! Przecież oto kończyło się coś pięknego, całe nasze dzieciństwo odchodziło w siną dal, nasze smutki i troski, problemy, lata nauki i strachów przed kartkówkami... za dwa miesiące, po wakacjach każdy z nas będzie już gdzieś indziej, poznamy innych ludzi, nowe twarze. Będziemy aktorami w zupełnie nam nieznanym teatrze, wśród innych aktorów... czym tu się cieszyć?

Zdziwiłam się, kiedy mama tego wieczoru otworzyła jedną ze swoich nalewek robionych każdego lata, nalała nam do kieliszków i sadwiąc się obok mnie na kanapie, przed telewizorem, powiedziała:

- Za twoje zdrowie, za ukończenie szkoły. Jestem z ciebie dumna.

Był to jeden z tych rzadkich momentów, gdy matka była taka... inna. Właśnie wtedy zdałam sobie sprawę, że może gdyby żył z nami ojciec, matka byłaby właśnie takim innym człowiekiem? Może nie latałaby tak często do kościoła? Może nie trzymałaby mnie tak krótko? Bo przecież potrafiła pokazać tak bardzo różniącą się twarz: twarz kobiety młodej, uśmiechniętej, wrażliwej...

Ogarnął mnie wtedy taki smutek, że wybuchnęłam płaczem. Matka mnie przytuliła, głaskała po włosach i sama miała błyszczące oczy. Kochałam ją i wiem, że dobrze zrobiłam wracając do domu i nie idąc się bawić z kolegami z klasy. Bo przecież doskonale widziałam wyczekującą mnie już w progu mamę, niecierpliwie przestępującą z nogi na nogę, wychylającą się tak, by mnie mogła dojrzeć już z

daleka. Przecież mama miała tylko mnie, a kiedy wróciłam do domu ze świadectwem ukończenia szkoły z bardziej niż zadowalającymi wynikami oraz wzorowym wychowaniem, zrozumiałam, że to także dzień jej triumfu. Bo po odejściu ojca nie poddała się, stawiała czoło całej wsi i nadal chodziła z dumnie podniesioną głową. Bo właśnie teraz mijało dziesięć lat od odejścia ojca, a ja robiłam pierwsze kroki w stronę dorosłości.

Wiem, że mama była ze mnie dumna. To była dla mnie największa pochwała.

Po wakacjach zaczęłam nową szkołę. Gastronomiczną. Chciałabym zostać kucharką, ponieważ kochałam gotować. Powiedziałam mamie, że nie chcę się uczyć, wyjeżdżać i studiować gdzieś daleko. Chcę iść do zwykłej szkoły w celu uzyskania zawodu. Przyjęcie do Technikum gastronomicznego okazało się łatwe. Zostałam przyjęta po zdanym egzaminie i jeżeli dam radę, to po czterech latach ukończę szkołę z potrzebnym mi papierem zaświadcującym zyskany zawód.

W tym czasie Zuzia chodziła do pobliskiego Liceum, zaś Grzesiek wyjechał do szkoły marynarskiej. Wszyscy byliśmy zdziwieni jego decyzją, że zamierza zostać marynarzem, a jednocześnie odwagą, miał przecież na długie miesiące wyjechać i wracać tylko na czas wakacji czy ferii. Z początku nie potrafiłam przyzwycząić się do braku jego obecności. Ale już po kilku tygodniach nie miałam z tym problemu. Zabawne, jak szybko ludzie akceptują nowe sytuacje.

Również z Kornelią i Adamem utraciłam kontakt, bo jakkolwiek mieszkali nieopodal, to przestaliśmy się ze sobą spotykać. Może to i dobrze, bo Adam zawsze kojarzył mi się już z gwałcicielem, zaś Kornelia wiele u mnie straciła pozwalając mu na robienie „tego”. Obrzydliwość!

Mama chciała, abym zapisała się do kościelnego chóru. Kategoriecznie odmówiłam. Co jak co, ale kościoła wystarczało mi w samą niedzielę, nie musiałam tam jeszcze śpiewać.

Nigdy nie zaprzestałam spotkań z księdzem Andrzejem. Opowiedziałam mu kiedyś, że wiem o pewnej osobie, której ktoś robi źle. I nie byłam pewna, co z tym zrobić.

- Czy ta osoba sama ci o tym powiedziała?

- Tak.

- A czy życzyła sobie abys zatrzymała to w sekrecie?

- Tak.

- W takim razie musisz dotrzymać tajemnicy.

- Nawet jeżeli tę osobę ktoś krzywdzi? Nawet wtedy jeśli mogłabym coś zmienić?

- Postaw się w sytuacji tamtej osoby. Czy gdybyś ty zwierzyła się komuś ze swojej tajemnicy, z największego sekretu, chciałabyś aby potem osoba ta wydała cię i twój sekret? Aby wszyscy się o tym dowiedzieli?

- Oczywiście, że nie.

- Więc widzisz, nie możesz zawieść zaufania danej osoby. To, że ci o tym opowiedziała, znaczy, że powierzyła w twoje ręce coś, o czym była przekonana, że nigdy nie wydobędzie się z twoich ust.

- Ale przecież dzieje się jej źle!

- Nawet wtedy! Nie możesz zawieść zaufania drugiego człowieka. To tak jak ze spowiedzią. Czy ty wiesz, ile swoich tajemnic przekazują mi parafianie? Wiem o tylu sprawach! A jednak nic z tego nie zostanie nigdy puszczone na wiatr, ponieważ nie są to moje tajemnice, lecz tych biednych ludzi. A każdy z nich zasługuje na szacunek milczenia.

- Rozumiem to. Ale pomimo wszystko wiem, że może mogłabym coś zmienić, pomóc, zabronić temu okropnemu czynu...

- Albo mogłabyś też wszystko pogorszyć. Wiem, że ciężko to zrozumieć, ale zostaw sprawę tym ludziom, których to dotyczy. To oni muszą chcieć rozwiązać swoje problemy. Nie zbawiaj świata na siłę.

Zrezygnowana odeszłam do domu. Długo myślałam nad tym, co mi powiedział i w końcu doszłam do wniosku, że miał rację. Kornelia nigdy by mi nie wybaczyła, gdybym nagłośniła sprawę, tego byłam pewna, jak również tego, że gdybym była w jej sytuacji, nie chciałabym, aby ktoś inny mieszał się do moich spraw.

Wtedy też w naszej parafii wybuchnęła afera jakiej jeszcze nie było.

Matka tego dnia długo nie wracała z kościoła. Nie wiedziałam co to mogło oznaczać, ponieważ w większości zawsze przychodziła do domu wcześniej. Nie zatrzymywała się, jak to często bywało, pod kościołem i nie plotkowała. Chodziła szybko i z werwą, więc dziwiłam się, że jakieś pół godziny po mszy jeszcze jej nie było. Akurat prasowałam

wyprane i wyschnięte ubrania, jednocześnie co chwilę wyglądałam przez okno. Po jakiejś godzinie wreszcie wróciła.

- Msza się przeciągnęła? - zapytałam.

- Coś ty! Nawet sobie nie wyobrażasz, co się wydarzyło!

Weszła i tak jak stała, w butach, usiadła na fotelu. Była wyraźnie wzburzona.

- Wyobraź sobie, że ten ksiądz Andrzej został wyrzucony z parafii!

Natychmiast przestałam prasować.

- Co? Jak wyrzucony? Przecież wczoraj z nim gadałam.

- Wczoraj to może tak, ale dziś się rozpętała burza. Cała wieś o tym gada. Jezu, ale się porobiło! I żeby to on? Nasz ksiądz? To się w głowie nie mieści!

- Ale co się stało?

- Ty lepiej uważaj, bo spalisz mi te spodnie!

Rzeczywiście za długo przytrzymałam żelazko na materiale i podejrzenie zaczynało już śmierdzieć.

- Dobra, gadaj!

- Ludzie w to nie potrafią uwierzyć! Zresztą ja też nie.

- No gadajże wreszcie! - wykrzyknęłam.

- Nakryli go z jakimś facetem. Rozumiesz? Przez cały ten czas, co nam tu paradował i udawał świętego, sypiał z tym chłopem. Jezus Maria, to się w głowie nie mieści, żeby dwa chłopcy kopulowały i... O matko, przecież on wam mógł co zrobić!?

Ksiądz Andrzej sypiał z facetem? Ale jak? Nie za bardzo to rozumiałam.

- Wiesz, ja nie za bardzo wiem, o co chodzi. Przecież jeżeli z tym facetem tylko spał, to co to za tragedia?

- Jak mówię spał, nie mam na myśli takiego zwykłego spania, Anka. On z nim, no wiesz... robił z nim to, co mężczyzna robi z kobietą po ślubie! Fúj!

Wiedziałam tylko niewiele, co się robi po ślubie, ale widocznie nie było to nic przyjemnego, kiedy matka tak się wzdrygała.

- I dlatego wszyscy podnieśli taki krzyk?

- Oczywiście! A ty nie wiesz, co to znaczy? Przecież to pedał, Ania. Czysty pedał w naszej wsi, gdzie nie ma pedałów, rozumiesz? Przecież on na pewno coś jakiemuś dziecku porobił. Już słyszałam, że brał dzieci i sadzał sobie na kolanach, po głowach głaskał.

- No brał na kolana i głaskał, ale...

- No widzisz? A ty nic nie mówiłaś, kiedy do salek cię prowadziłam?

- Nie, bo nie robił niczego złego. Przecież wujek też mnie sadzał na kolana, i ciocia Basia, i ty... wszyscy nas głaskali po głowach. Przecież to jakaś paranoja!

- Z tym, że wujek jest zdrowy, rozumiesz? I ciocia też. I ja. A on... on jest najprawdziwszym pedałem! Kto wie, czy dzieci nie przerażał, czy jak. Żeby w kościele takie zgorszenie? Że też ta fara cała z dymem nie pójdzie!

- Nie gadaj tak! Co z tym księdzem będzie?

- Jak to co? Ludzie tam stoją, krzyczą, w okna rzucają kamieniami. Wygrażają. Pedała księdza nie chcą, boją się żeby z ich dziećmi nie spółkował... jak nic wyrzucą go na

zbity pysk.

- Ale przecież to całe jego życie! Dwadzieścia pięć lat jest księdzem! - wykrzyknęłam. - Nie mogą go tak po prostu wyrzucić!

- Anka, czyś ty zmysły postradała? Zwariowałaś? Ty się lepiej idź pomodlić, bo takich rzeczy się nie wygaduje. Przecież on tu siał zgorszenie!

- Jakie zgorszenie? Przecież dopiero dziś afera wybuchnęła. Zawsze było dobrze, wszyscy go lubili, wychwalali.

- Ale teraz to już przeszłość. Bo to wilk w owczej skórze, mówię ci!

W tamtych czasach nie mówiło się otwarcie o homoseksualistach, ludzie byli i będą jeszcze długo zacofani i przesądni, to się chyba nie zmieni. A najbardziej Polacy z tą swoją obłudną wiarą. Pojęłam to dopiero wiele lat później. I tak zdziwiłam się bardzo, że matka o tym ze mną mówiła.

Ksiądz Andrzej rzeczywiście został oddalony. Cieszyłam się, ponieważ nie został zupełnie usunięty z kościoła, a dostał się do innej parafii, daleko stąd, choć nikt nie wiedział tak naprawdę, gdzie. Na jego miejsce przyjechał stary, tłusty ksiądz, o trzech podbródkach, lubiący sobie, jak potem głosiła plotka, porządnie zjeść i wypić. Ale ludziom to nie przeszkadzało. Jeżeli nie był pedałem, to niech sobie wypije i porządnie zje, w końcu to ksiądz, jemu się należy. A także to człowiek o normalnych potrzebach, dlaczego więc by sobie nie mógł wypić? Wszystko dla ludzi.

Szkoda tylko, że nie mówili tak w stosunku do księdza

Andrzeja...

Skończyły się moje spotkania i cotygodniowe rozmowy z księdzem. Nowy, ksiądz Mateusz, nie miał dla nas czasu, bo ciągle był zapracowany. Msze odbębniał raz dwa, gadał niezrozumiale, a jak zaśpiewał to włosy dęba stawały. Przestałam z radością chodzić do kościoła, ale lud, jak widziałam, zdawał się być naprawdę zadowolony.

Mijały lata, a ja przynajmniej raz w tygodniu poświęcałam myśl mojemu ulubionemu i jedynemu w swoim rodzaju księdzu Andrzejowi. Gdzie jest? Jak się tam ma? Czy traktują go dobrze?

Przecież był to taki dobry ksiądz i jakie miał podejście do dzieci! Pamiętam dzień sprzed paru tygodni przed komunią świętą. Siedzieliśmy w salkach z przodu, gdzie właśnie odbywały się egzaminy do komunii. Z tyłu za nami siedzieli rodzice. Na środku stał patrzący na nas i uśmiechnięty ksiądz, przed nim długa ławka, do której podchodziliśmy po pięciu a on przyglądał się nam i zadawał pytanie:

- Dziesięć przykazań. Będziecie mówić każdy po jednym, po kolei. Nie musicie się bać, przecież za parę dni komunია, więc wszystko przebiegnie dobrze.

Ale ja się bałam. Bo pomimo wszystko zawsze miałam problemy z zapamiętaniem wiersza na języku polskim. Teraz też często zdarzało się, że zapominałam jakiegoś przykazania, nie mówiąc już o strachu.

Stałam trzecia w kolejce i oczywiście zapomniałam trzeciego przykazania. Zaczerwieniłam się, zalało mnie gorąco. Nie chciałam się ośmieszać, jednak nie mogłam się

zmusić do wypowiedzenia jednego słowa. Egzamin y zawsze działały na mnie stresująco.

Wtedy też ksiądz Andrzej uśmiechnął się do mnie i powiedział:

- Pamiętaj... - i patrząc mi w oczy skinął głową. Dodawał mi otuchy, wiedział, że przecież pamiętam, ale że się boję.

- ... abyś dzień święty święcił - dokończyłam jakby nigdy nic, a on znowu skinął głową i nakazał kolejnemu dziecku wymienić przykazanie. Zrobił to tak, jakby nic się nie stało. Nie było dla niego żadnego problemu, nie przeciągał chwili, nie poniżał i nie ośmieszał, jak ksiądz w pobliskiej parafii, który nie dopuścił do komunii aż pięć osób.

Na koniec pogratulował rodzicom mądrych dzieci i zapewnił, że jest z nas dumny i cieszy się, że takie dzieci jak my będzie mógł poprowadzić do komunii.

Do mnie zaś szepnął:

- Od początku w ciebie wierzyłem. A wiara czyni cuda.

Ksiądz nie miał sobie równych.

Na wsi jeszcze długie tygodnie wrzało od plotek. Ludzie wynajdywali naraz dziesiątki niepotrzebnych spraw, oczerniali księdza Andrzeja bez mrugnięcia okiem i często słyszało się:

- Ja zawsze wiedziałam, że coś z nim jest nie tak!

- Z oczu mu źle patrzyło...

- Zachowywał się dziwnie...

Tak, wszyscy wiedzieli i wszyscy byli mądrzejsi. Nie potrafiłam się nadziwić ludzkiej głupocie.

W miarę jak mijał czas, coraz bardziej rozmyślałam o

innych sprawach. Czasami udało mi się dojrzeć chodzącą jak cień Kornelkę, Zuzia już tu nie mieszkała, przyjeżdżając tylko czasami na weekendy (zrezygnowała ze szkoły i wyprowadziła się), a Adam jako jedyny z nas spełnił swoje marzenie, naprawdę zaczął pracować w mieście w hotelu jako kucharz.

A potem wieść obiegła dziwna wieść: Kornelka zaszła w ciążę. Powiedziała mi o tym mama.

- Ty wiesz, co się stało?

Nie wiedziałam, często teraz zatapiałam się w książkach, zaczęłam też więcej słuchać muzyki, czytałam wiersze i nawet sama w ciszy i spokoju pisałam swoje, które od razu po napisaniu chowałam głęboko do szuflady, aby nikt ich nie widział.

- Co?

- Ta twoja Kornelka to jak widać niezłe ziółko!

Teraz dopiero mama mnie naprawdę zaciekawiła.

- Co się stało? - Spojrzałam na nią, bo od razu wyobraziłam sobie, że spotkało ją coś złego.

- Jest w ciąży! - powiedziała mama triumfalnie, podpierając się pod biodra, jak to zawsze robiła mając coś ważnego do zakomunikowania.

- W ciąży? Z kim?

Nie miała żadnego chłopaka, bo pomimo tego, że matka nie pilnowała jej tak bardzo jak moja pilnowała mnie, to... to wiedziałabym przynajmniej, że kogoś ma...

- Ha! - wykrzyknęła mama. - I tu jest pies pogrzebany!
Bo ojca dziecka nie ma!

- Jak nie ma? - zapytałam bezsensownie.

- No nie ma! Ktoś jej zrobił bachora, a ona nawet nie piśnie słowa. Taki wstyd! Cała wieś już gada!

Wyobraziłam ją sobie i zrobiło mi się jej żal. Co jak co, ale teraz to Kornelka nie będzie miała łatwego życia. Bo u nas na wsi działało to tak, że kiedy jakaś dziewczyna zachodziła w ciążę, a nie miała chłopaka (co tam chłopaka, tutaj należało być po ślubie!), od razu była skreślana przez resztę mieszkańców, wytykana i wyśmiewana. Nie minie wiele czasu a przylgnie do niej nowe, dosyć często używane przez ludzi słowo: latawica.

- To teraz będzie miała przesrane - zauważyłam.

- Jak ty się wyrażasz? - uraziła się mama, a potem jakby nie zważając na to, co mówi, powiedziała: - Przesrane to już ma, bo po wsi plotka poleciała, a wiesz, co to oznacza.

Tak, doskonale wiedziałam. Miała przesrane, pomyślałam. Inne słowo by się tu nie nadawało.

- To ojca nie ma? - zapytałam ostrożnie, aby się przekonać.

- Tak! - wykrzyknęła matka z palcem uniesionym w górę.

- Nie ma. Sama sobie bachora sporządziła! Tak to wygląda!

Już kiedy zadawałam to pytanie, swoje plątało mi się po głowie, ale i tak dla pewności musiałam zapytać. Tliła się we mnie jeszcze jakaś słaba nadzieja, że może Kornelka poznała kogoś i... no tak, ale nie poznała, więc jak nic dziecko musiało być Adama. Niezły gulasz.

Tydzień później Kornelia zrezygnowała ze szkoły, wyjechała i już nigdy więcej nie powróciła do naszej wsi. Jej

rodzice zamknęli gęby na kłódki, a Adam nie odpowiadał na zadawane mu pytania.

Dwa tygodnie po wyjeździe Kornelki, na weekend przyjechała Zuzia. Spotkałyśmy się jeszcze tego samego dnia. Była wesoła, uśmiechnięta, taka... nowa! Inna fryzura, idealnie dopasowane ubranie, buty na tak długich szpilkach, jakich jeszcze tutaj nie widziano i z powodu tych właśnie szpilek od razu zaczęto wytykać ją palcami. No, bo kto w takich butach po wsi łązi? Wiadomo, kto...

Zuzia wiele mówiła. Ja tylko siedziałam zasłuchana w jej opowiadania. Piłyśmy wino, co mamie nie za bardzo się podobało, ale Zuzia nawet nie chciała słyszeć o jakimkolwiek zakazie.

- W końcu stare krowy już z nas, więc wina napić się nam nie wolno?

Im więcej wina wypiliśmy, tym weselej się robiło, a Zuzia zdradzała coraz pikantniejsze szczegóły ze swojego życia. Opowiadała o facetach, o nocnym życiu i ludziach zupełnie innych niż tutaj.

- Tam nie wsadzają nosa każdemu do dupy! A wiesz czemu? Bo nic ich to nie interesuje! Nikt nie lubi jak śmierdzi. Każdy zajmuje się sobą, nie ma czasu na pieprzenie i wysiadywanie w oknach. I żadnych dewotek! Wyobrażasz sobie? Jak chcesz iść do kościoła, to idziesz, a jak nie, to nie. I tak to powinno być. A tu? Nie idź do kościoła, to zaraz jesteś obszczekana na amen. Tacy tu są ludzie!

Przyznam się, że coraz bardziej jej zazdrościłam.

Wyglądała naprawdę dobrze i to co mówiła podobało mi się. Zapragnęłam również, jak ona, poczuć wiatr w skrzydłach. Ale mama nigdy nie zgodziłaby się na mój wyjazd. Co to, to nie.

- A co niby z księdzem Andrzejem? Wypieprzyli go na zbity pysk, tak? Obłudnicy jedni! Przecież wiemy wszyscy, co mają w domach ci najgłośniejsi wykrzykujący o moralach, o prawie, o czystym życiu. Chrześcijańskim! Kiedy zamkną się za nimi drzwi, to biją, piją i spółkują nawet z kozami! Wiemy, co się na wsiach dzieje, głupi nikt nie jest. A jednak zawsze tacy znajdują kozła ofiarnego i kopią go w dupę ile wejdzie! Tam - Zuzia wskazała ruchem ręki w jakimś kierunku - to w klasztorach pedał na pedale. I wszyscy o tym wiedzą, ale nie mówią. Bo niby dlaczego mieliby mówić? Przecież to tacy sami ludzie. A że podobają się im tyłki? Tylko starym obłudnikom wydaje się, że tyłki im się nie podobają. Wierz mi, Anka, najpiękniejsze w ciele męskim, oprócz innego miejsca, są tyłki. Chyba się ze mną zgodzisz?

Fakt, miała rację, często przyłapywałam się i dziewczęta w szkole również, na przyglądaniu się tyłkom kolegów.

- A wiesz, co jeszcze mają tak ciekawego do pokazania? - zachichotała Zuzia wyraźnie już podpita.

- Ciii - uciszyłam ją. - Mama z pewnością podsłuchuje.

- A niech podsłuchuje! - powiedziała ciszej. - Niech sobie przypomni stare czasy, kiedy ciebie zmaistrowała! Przecież też potrafi i nie taka święta jak się wydaje...

Roześmiałyśmy się. Zuzia była niesamowita. Jak szybko uciekł ten czas, gdy byliśmy dziećmi. Naraz spodobało mi

się być „dorosłą”, bo przecież jeszcze się taką nie czułam, ale według rocznika byłam. Życie takim stylem, gdy mówiło się, co przychodziło komu na myśli, mogło okazać się całkiem ciekawe.

A potem, oczywiście jak to bywa po wypiciu większej ilości alkoholu, nasza mnie jakaś melancholia. W porównaniu z Zuzią byłam właściwie zwykłą szarą myszką, dzieckiem i niedoświadczoną wieśniaczką. Zazdrościłam jej.

Życie Zuzki, jak się potem okazało, nie było wcale takie wspaniałe, jak mi się wydawało. Drugiego dnia odwiozło ją pogotowie. Podcięła sobie żyły.

Wiadomość ta o mało nie ścięła mnie z nóg. Jakkolwiek bolała mnie głowa po spędzonej z nią nocy, to dziś napisałabym: wzięłam zimny prysznic, ale wtedy jeszcze nie miałyśmy żadnego prysznic, więc obmyłam się lodowatą wodą ze studni i udałam do szpitala.

Leżała tam podłączona do kroplówki, z rękami obandażowanymi i z zamkniętymi oczami.

- Cześć... - powiedziałam niepewnie i usiadłam na łóżku opodal.

Otworzyła oczy, uśmiechnęła się słabo.

- Cześć.

- Dlaczego? - zapytałam tylko. Żadnych słów więcej tu nie było potrzeba.

- Jestem w ciąży - odpowiedziała i po jej policzkach popłynęły dwie samotne łzy.

- To... to przecież... to dobrze, nie? - zająknęłam się.

- Chyba nie.

- Masz siłę mi o tym opowiedzieć?

- A masz siłę tego wysłuchać?

Czyli nie opuszczał jej humor nawet w takich sytuacjach jak ta. Zuzia była zupełnie innym człowiekiem niż my na tej wsi. Różniła się nawet od swej matki. Była barwnym ptakiem.

- Poznałam tam faceta. Zakochał się we mnie. Ja w nim też, co nie trudno zgadnąć. Nie widzieliśmy poza sobą świata, nie uważaliśmy i... zaszłam w ciążę. To już trzeci miesiąc. Mieliśmy plany, wiesz, ślub i te pieprzenie o całym życiu, długo i szczęśliwie. A potem się dowiedziałam, że ma żonę. I akurat ona też jest w ciąży. Załamalam się, potrzebowałam rady, pomocy, to dlatego tu wróciłam teraz, choć nie miałam tego w planie.

- To chyba dobrze zrobiłaś.

- Nie wydaje mi się. Słyszałam, że Kornelka jest latawicą i z brzuchem uciekła ze wsi, nie wiadomo dokąd. I żeby tylko z brzuchem! Ze wstydem też.

- Zuzia...

- Poczekaj, dokończę. Nie zostało wiele. Powiedziałam mamie. Wczoraj. I wiesz, co mi odpowiedziała? Że w naszej rodzinie kolejnej takiej lafiryndy jak Kornelka nie będzie. Że nie przyniosę im wstydu i mam usunąć dziecko bez dwóch zdań. Że jestem młoda, że bachor zniszczy mi życie, że oni nawet palcem nie kiwną by mi pomóc i że jeśli się puszczałam, to teraz sama mam wypić to piwo, którego sobie nawarzyłam. - Zuzia się rozplakała. - To dlatego podciąłam sobie żyły. Bo nie mogłam znieść myśli, że nie

mogę liczyć na ich pomoc.

- Nie wiedziałam, że oni są tacy... tacy... - zabrakło mi słów.

- Popierdoleni? - zapytała, patrząc na mnie zbolalym wzrokiem. - To teraz już wiesz, że są. Na zewnątrz każdy pokazuje inną twarz, Anka. Za zamkniętymi drzwiami dzieją się, jak wiadomo, różne rzeczy.

- Czy z dzieckiem wszystko w porządku?

- Tak.

- To dobrze. Słuchaj, nie wiem jak bardzo będę mogła, ale pomogę ci. Proś o cokolwiek.

- Dzięki. Ale jutro, kiedy mnie stąd wypiszą, wyjeżdżam natychmiast. Urodzę to dziecko, choćbym miała stanąć na głowie, bo... bo kocham tego gnoja i jeżeli nie mogę już mieć jego, to przynajmniej pozostanie mi po nim coś, co będę mogła obdarzyć miłością.

Pogłodziłam ją po twarzy i chwyciłam za dłoń. Powinna czuć, że jestem z nią.

- Ale z nimi tu skończyłam. Już tu nie wrócę. Kornelka dobrze zrobiła, że stąd związała. Ty też powinnaś to zrobić. Bo dokoła sami obłudnicy i jeżeli powinie ci się noga, ukamieniają cię, odtrącają i odwrócają głowy, choćbyś głodem przymierała.

- Zuzia, powiedz... czy potrafisz dotrzymać tajemnicy?

- Pytasz? Powinnaś wiedzieć!

- No tak, przepraszam. Zdradzę ci pewien sekret, myślę, że teraz najlepsza ku temu sposobność. Jakoś zbyt długo to dusiłam w sobie. Potrzebuję zbawić się tego ciężaru. Ale

musi to pozostać między nami.

- Dobrze. Obiecuję, że nikomu nic nie powiem.

- Z Kornelią to nie jest takie proste jak się wydaje. Ona... ona spodziewa się dziecka. Ojcem jest Adam!

- Wiem, że się spodziewa. Jaki Adam? - zapytała, nie rozumiejąc.

- Adam. Zuzia, jej brat!

- Jezus Maria! Jak to?

- Przez wiele lat ją wykorzystywał.

- I nic nikomu nie powiedziała?! - wykrzyknęła.

- Powiedziała mnie. Ale zakazała mi o tym komukolwiek mówić. Dlatego milczałam jak grób.

- Powinnaś to komuś powiedzieć! - powiedziała z wyrzutem.

- Poszłam do księdza Andrzeja. Stał po stronie Kornelii. Powiedział, że to jej tajemnica i nie mogę jej zdradzić, jeżeli ona sobie tego nie życzy.

Zastanowiła się przez chwilę.

- Racja. Dobrze zrobiłaś. Gdybym była w jej sytuacji, też bym nie chciała... chociaż wiesz, ja bym to załatwiła zupełnie inaczej. Ale gdyby nie, to i tak chciałbym, aby moja tajemnica pozostała moją. Rozumiesz?

- Tak, dlatego nic nikomu nie powiedziałam. Ale teraz... potrzebowałam się tym z kimś podzielić. Wiem, że mogę ci ufać. Od razu mi też lżej na sercu.

- Więc nie jestem mi aż tak źle - powiedziała. - Wiesz, jak to się mówi: nigdy nie jest tak źle, żeby nie mogło być jeszcze gorzej.

- Tak.

Posiedziałam przy niej jeszcze jakiś czas. Umówiliśmy się, że jutro nie pojedę do szkoły i odprowadzę ją na pociąg, co też zrobiłam. Pożegnałyśmy się ze łzami w oczach. Życzyłam jej wiele sił i kazałam nie poddawać się, a w razie konieczności niech od razu się ze mną kontaktuje. Pomogę jak tylko będę mogła.

- Jesteś moją prawdziwą przyjaciółką - zapewniła mnie, obejmując mocno i płacząc. Ja też nie wytrzymałam napięcia, bo rozstania zawsze bywają ciężkie, z kimkolwiek się rozstajemy, i zapewniłam o swojej przyjaźni.

A potem odjechała, machając mi ręką w oknie. Taka smutna na twarzy.

Później, jakiś tydzień po jej wyjeździe, otrzymałam złą wiadomość. Na morzu rozszalała się burza. Statek, na którym przebywał aktulanie Grzesiek, zatonął. Nikt nie przeżył.

Ogarnęła mnie czarna rozpacz.

Każdemu z naszej paczki przytrafiało się coś złego. Najpierw Kornelka, wykorzystywana i uciekająca w hańbie ze wsi z brzuchem, potem Zuzia, odrzucona przez swojego kochanka, w ciąży i rozczarowana brakiem pomocy i zrozumienia ze strony rodziców. Teraz śmierć Grześka, osiemnastoletniego chłopaka z przyszłością. Jedynie Adam wyszedł na tym najlepiej, może dlatego, że był gnojkiem i szubrawcem jakich mało.

Teraz nadszedł czas na zastanowienie się nad sobą. Co czekało mnie? Jaka przyszłość jest mi pisana?

- Oni wszyscy z tej naszej ulicy byli jacyś nie tak - mówiła mama. - Dziwni, już od dziecka mi się nie podobali. To musiało się tak skończyć. Wiary w ich domu nie było...

- Mamo! Jakże nie wstyd ci tak mówić? Osądzać? Przecież oni nic za to nie mogą!

- Gdyby Grześka nie ciągnęło w świat, żyłby dziś i wszystko mogłoby być inaczej. Po co tam jechał? Diabeł go kusił i tyle!

- Jesteś okropna! Więcej tak nie mów!

- Co ty tam wiesz! - Mama machnęła ręką. - Wy młodzi, to myślicie, że wszystkie rozумы pozjadaliście. Ale dopiero dostając od życia po tyłku, oczy się wam otwierają.

Nie mogłam dłużej jej słuchać. Odchodziłam, kiedy jeszcze mówiła:

- Bez Boga ani do proga, zapamiętajcie to sobie...

Zamknęłam się w pokoju. Przecież oni wszyscy wierzą w Boga! Nigdy nie złorzeczyli, nigdy nikogo nie skrzywdzili, więc takie mamine gadanie raniło mnie i... denerwowało ponad miarę. Po raz pierwszy poczułam złość do matki. Po raz pierwszy też miałam ochotę naprawdę się z nią pokłócić i wygarnąć jej parę swoich prawd.

Jeszcze na to miał przyjść czas...

Wydarzyło się to dokładnie następnego dnia. To wtedy drogi, moje i Roberta, zeszyły się. Tego dnia było duszno, taki trochę pochmurny dzień, ale idealnie nadający się do robót w ogrodzie. Wyszłam przed dom i plewiłam z mamą grządki kwiatów pod płotem. Nagle coś zwróciło moją uwagę.

Jakieś sto metrów dalej drogą szedł Adam, zaśmiewając

się na całego. Od razu zwróciłam na niego uwagę, bo od czasu zwierzeń Kornelii, miałam na niego wyczułone ucho. Szedł drogą, a tuż obok kroczył jeden z najpiękniejszych chłopaków, jakich w życiu widziałam. Miał białe jak śnieg włosy, opadające do ramion, gęste. Był wyższy od Adama, musiał mierzyć jakieś sto osiemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu. Miał dobrze wyrobione ciało, ponieważ pod koszulką grały jego doskonałe mięśnie, co od razu rzucało się w oczy. Adam przecież też był niczego sobie i dbał o siebie. Był jednym z tych ładniejszych chłopaków we wsi i w szkole. Dziewczyny często rzucały za nim powłóczyście spojrzenia. Więc teraz nie dziwiłam się, że u jego boku kroczył chłopak równie urodziwy jak on, zwracający uwagę na swój wygląd. Tak już bywało, że ci ładni zawsze trzymali się przy sobie. Ale jeżeli chodziło o Adama, był nie tylko ładny, ale też nikczemny i zły. Prawdopodobnie koleżka będzie taki sam, inaczej by się nie kumplowali.

Stałam tam i zapatrzyłam się przed siebie. Dopiero kiedy byli już parę kroków ode mnie, zrozumiałam, że gapię się na nich jak na towar w sklepie, więc czym prędzej wróciłam do pielienia. Tymczasem Adam dawno mnie już zauważył i krzyknął:

- Hej, Anka, jak się masz?

Adam nie wiedział, że wiem o wszystkim, o tym jak któregoś tam dnia stałam się powiernicą jego siostry. Nie dawałam też nigdy po sobie poznać, że ja WIEM. Bo po co by mi to było? I tak nic by tego nie zmieniło. I mimo wszystko... no tak, podobał mi się, a jak wiadomo, na

ładnych ludzi nie można się gniewać zbyt długo, czy przechodzić obok nich obojętnie.

Podniosłam głowę, wstałam i podparłam się motyką.

- Cześć. Dobrze.

- Może przyjdiesz do nas? Napijemy się piwa?

Od pracy bolało mnie w krzyżu, a pot spływał mi z czoła, więc propozycja wydała mi się kusząca. Kumpel Adama stał tuż za nim i uśmiechał się do mnie szeroko, przyglądając się z zaciekawieniem. Miał białe zęby i niebieskie oczy.

- Chyba raczej nie skorzystam... - powiedziałam oglądając się do tyłu, gdzie tyłem do nas pochylała się nad różami mama, nastawiając uszu.

Mrugnął oczkiem i pokiwał głową.

- Rozumiem, ale ze mnie gaduła, przepraszam. To mój kolega z pracy, Robert. Robert jest nowy w mieście, przeprowadził się tu niedawno ze swoją matką.

Podaliśmy sobie przez płot ręce, a mnie przebiegł dreszcz. Miał silny uścisk dłoni, taki męski, zdecydowany. Nie jak jakaś zimna ryba. Nie potrafiłam oderwać od niego wzroku. Tak bardzo różnił się od wszystkich poznanych mi dotąd chłopaków.

- Wpadniesz? - zapytał, przyglądając mi się równie uporczywie, jak ja jemu.

- Może później...

- Dobra, będziemy w domu. Wiesz, gdzie mieszkam - roześmiał się Adam i odeszli.

Po minucie znowu doszedł mnie głośny śmiech Adama. To dziwne, że przyczynił się do nieszczęścia siostry, a bawi

się, jakby go to nie dotyczyło. Ale faceci chyba już tacy są. Zawsze tacy sami, jak mówi ciocia Baśka. Przychodzą, robią, co do nich należy, zwijają ogon jak dywan i znikają. Przepadają, jakby ich nigdy nie było.

Mój tato też przecież zniknął, zwinął co miał zwinąć i tak zostaliśmy do dziś z matką same.

- Anuśka - mówiła kiedyś ciocia Basia - jedyną rzeczą, na której możesz polegać, jeżeli chodzi o chłopa, to ta, że zawsze zawiedzie. To samce z kompasem między nogami. Idą zawsze tam, gdzie on ich kieruje. Ale nigdy nie pozostają w miejscu. - Jak na to, że nie miała nigdy faceta, gadała całkiem do rzeczy. I nie czerwieniła się nawet.

- A jednak niektórzy zostają.

- Bo są albo wybrakowani, felerni albo kompletnie do dupy. Albo też... - tu ciocia uniosła uważnie w górę palec wskazujący - mają inne na boku!

Nie wiem, skąd ciocia była taka obeznana w związkach męsko-żeńskich, ale widocznie miała rację, bo im bardziej dorastałam, tym więcej rozumiałam i widziałam. Zmysł obserwacji, po prostu.

Kiedy nadszedł wieczór, mama jak zwykle wybrała się do kościoła, więc, nie mogąc wymazać z głowy Roberta, pospiesznie ubrałam się i pobiegłam do domu Adama, choć jeszcze jakiś czas temu nigdy do tego domu bym nie weszła.

Oboje byli już nieco podchmieleni. Oczy Roberta błyszcząły w świetle zapalonej lampy, włosy miał zmierzwione jakby przed chwilą grzywą rozwiał mu wiatr i spodobał mi się jeszcze bardziej.

- Napijesz się piwa? - zapytał Adam.

Nie piłam piwa, ale nie chciałam odmówić, nie mogłam wyjść przed Robertem na kompletną zdziecinniałą idiotkę, znającą się tylko na ogródkowych pracach i kościele.

- Jasne - powiedziałam i uśmiechnęłam się niepewnie.

Adam otworzył mi piwo, ulokowałam się pomiędzy nimi i zaczęliśmy rozmawiać... o mnie. Widocznie bardzo ciekawiłam Roberta, pytał o wszystko, a ja starałam się odpowiadać w miarę najlepiej, choć już po pierwszym piwie zaczął plątać mi się język.

- Nie jesteś przyzwyczajona zbyt do picia, co? - Robert uśmiechał się do mnie.

Popatrzyłam na niego niepewnie, szeroko otwartymi oczami.

- No... tak - roześmiałam się nerwowo.

- Nie przejmuj się, naprawimy to z czasem - puścił do mnie oczko.

Adam otworzył mi kolejne piwo. A potem wypić jeszcze jedno. Nagle, nie miałam zielonego pojęcia, która mogła być godzina, podniosłam się na drżących nogach, zapowiadając:

- Idę do domu.

Zrobiłam dwa kroki i zatoczyłam się. Było mi niedobrze.

- Hej, czekaj - Robert przyskoczył do mnie, chwytając mnie za rękę. - Odprowadzę cię.

- Nie trze-e-eba. Sama tra-a-afię - zaczęłam mieć problemy z mówieniem.

Robert wziął mnie pewnie pod rękę i zostawiając pijanego Adama, leżącego na kanapie, wyszedł ze mną na

zewnątrz. Od razu zakręciło mi się w głowie. Zawisnęłam na jego ramieniu, jak torba pełna zakupów. Co chwila ugiwały się pode mną nogi, parę razy czknęło mi się, co z pewnością nie dodało mi w oczach Roberta uroku. Wreszcie dotarliśmy pod furtkę, w której stała oczywiście mama z ciocią Basią.

- Jezus Maria, szukamy cię już godzinę! - wykrzyknęła mama.

- Co on ci zrobił? - ciocia chwyciła się za serce. - Jeżeli coś ci zrobił, to od razu dzwonię na milicję.

- Spokojnie. Jestem kolegą Adama, trochę za dużo wypiliśmy.

- Ty piłaś? - mama o mało nie dostała apopleksji.

- Ona piła? - ciocia Basia również nie mogła w to uwierzyć.

- Pi-łam - zająknęłam się. - No i co-o?

- No i co? Jeszcze pyskujesz? Ja ci dopiero pokażę - mama chwyciła mnie pod rękę, wraz z ciotką wyrywając mnie z uścisku Roberta.

- Że się nie wstydzisz dziewczyny upijać - pogoniła go ciocia. - Licho jakie cię tu przywiało...

Robert uśmiechnął się i mówiąc „dobranoc” odszedł spokojnie, choć i jego krok nie był zbyt pewny.

Zaprowadzono mnie do domu i ułożono na łóżko. Rankiem obudziłam się z potwornym kacem i głową jak balon.

Mama jakby tylko czekała na moje przebudzenie.

- Jak mogłaś mi to zrobić? Przed Basią? Czy ty wiesz, jak ja się czułam? Co ja w ogóle wtedy przeżywałam, kiedy ten

pijak przyprowadził cię do domu? Wisiałaś mu na ramieniu jak jakaś... jakaś... tania dziwka! Że się nie wstydziałaś!

- Daj spokój, głowa mi pęka... - przyłożyłam ręce do obolałej głowy.

- I bardzo dobrze, że pęka. Powinno ci ją rozpierdolić. Takiego wstydu się najeść. Kto to widział, żeby dziewczyna tak się doprowadziła...

- Mamo, nie rycz tak bardzo - teraz ręce przyłożyłam do uszu. - Boli mnie głowa, zresztą mam osiemnaście lat.

- No właśnie! Osiemnaście. Dopiero!

- Czyli mogę się upijać kiedy zechcę. Jestem dorosła.

- Anka, jak ja ci zaraz... Ja ci dopiero powiem, co ja o tobie dzisiaj myślę. Ty mi nie będziesz z jakimiś miastowymi chochołami po nocach latała. Czy ty wiesz, jaki Basia ma długi język? Już nas pewnie wszędzie obrobiła. Cała wieś na pewno wie jak się prowadzasz. Z dwoma chłopakami, po nocy. Jezus Maria, ja zwariuję. A myślałam, że ten Adam jest porządny...

- Zostaw mnie... - powiedziałam błagalnie. - Przepraszam za wczoraj, ale daj mi chociaż trochę ciszy...

Ale mama jeszcze musiała mi dowalić, bo to nie byłaby ona.

- Jeżeli... jeżeli oni ci dzieciaka zmajstrowali, to ja przysięgam... ja...

- Mamo! - pierwszy raz podniosłam na nią głos. - Daj mi święty spokój!

Mamę zamurowało.

- Ja cię nie poznaję, co się z tobą stało?

- Może dorosłam. Idź stąd. Idź!

Odeszła, obrażona i trzasnęła drzwiami.

Poszłam spać. Pierwszy raz też zarwałam szkołę. Ale tego dnia było mi wszystko jedno.

Wieczorem moich uszu doszedł głos wyklócającej się z kimś mamy. Zebrałam się w sobie i wstałam z łóżka. Podeszłam do okna i odsłoniłam firankę. Na placu stał Robert. Od razu oprzytomniałam na tyle, że pospiesznie wybiegłam z pokoju i pognałam w stronę drzwi.

- ... nie ma jej w domu, już mówiłam! - wołała mama w stronę Roberta, nie wiedząc, że stoję za nią.

- Mamo? - zapytałam. - O co chodzi?

Odwróciła się jak rażona prądem.

- Co ty tu robisz? Marsz do pokoju!

- A mówiła pani, że jej nie ma - zauważył Robert.

- Nie twój interes! - odpowiedziała mu.

- Anka, przyszedłem po ciebie. Może byś skoczyła ze mną do miasta na... na pizzę?

- Ona nigdzie nie pójdzie!

- Idę!

- Nie idziesz! Masz szlaban.

- Mamo, jaki szlaban? W moim wieku? Nie bawiłyśmy się w to już od paru lat.

- To zaczniemy!

Spojrzałam na nią i postanowiłam:

- Idę!

- Mowy nie ma!

- Robert - krzyknęłam do niego. - Poczekaj na ulicy,

zaraz przyjdę.

Chciałam, żeby zniknął z naszego placu, bo mama była jeszcze w stanie mu coś zrobić. Nie zdziwiłabym się, gdyby wyrwała sztachetę z płotu, tę poluzowaną, i przegoniła go, waląc po plecach. Lepiej dla niego, jeżeli będzie w bezpiecznym miejscu.

Weszłam do domu. Nagle ogarnęła mnie dzika euforia. Wstąpiła we mnie nowa siła. Byłam gotowa zmierzyć się ze światem i sama myśl, że tam niedaleko stoi i czeka na mnie najprzystojniejszy facet jakiego w życiu widziałam, sprawiała, że motyle latały mi w podbrzuszu. Boże, jak miło!

- Zostajesz w domu!

- Mamo, nie histeryzuj. Idę tylko na pizzę, sama słyszałaś. Za chwilę będę z powrotem. A zresztą nie rób mi wiochy, bo jeszcze się przerazi i zostanę starą panną. Jak ty.

- Ja nie jestem starą panną.

- Ale niewiele ci do tego brakowało.

Mama się zapowietrzyła.

- Ja cię naprawdę nie poznaję...

- No popatrz, a ja ciągle jestem taka sama...

Mama spojrzała na mnie wzrokiem oskarżycielskim.

- Zmieniłaś się. Opuszczasz matkę, masz mnie gdzieś. Cycki ci urosły i myślisz, że świecisz, ale życie nie takie łatwe jest jak ci się zdaje.

- Wiem, że nie łatwe. Wiem. Mieszkam z tobą, więc łatwe nigdy nie było. Ale jeśli ma być jeszcze jakieś inne, to chcę się o tym przekonać na własnej skórze.

- Ty nawet nie wiesz, jak to czasem może zboleć. Kiedy

cię życie kopnie w dupę, nawet nie będziesz wiedziała jak się nazywasz, a ty chcesz to przeżyć? Do tego cię właśnie ciągnie?

- Tak! Chcę! Chcę, mamó. Bo to jest moje życie. Dlatego chcę poznać każdy jego smak.

- Tak, zmieniłaś się...

Popatrzyłam na zegarek. Dziesięć minut stałyśmy i gadałyśmy o niepotrzebnych sprawach.

- Dobra, ja się przebieram. Skoczę na miasto, a ty możesz sobie tu posiedzieć i zaakceptować fakt, że dorosłam. Już nie jestem małym dzieckiem, mamó. Nie mogłam się nie zmienić, bo jak sama widzisz, nawet cycki mam inne niż rok temu. Rozumiesz?

Mama gapiała się na mnie z rozdziawioną gębą. Oczywiście, że nie rozumiała, żyła w swoim własnym świecie. To dlatego nie potrafiła zaakceptować zmian. Bo w takim życiu, jakie żyłyśmy, było jej dobrze.

Zamknęłam się w pokoju, a kiedy naciągałam na siebie jakąś kieckę, usłyszałam zgrzyt klucza w zamku. Podbiegłam do drzwi: były zamknięte. Co za idiotka ze mnie, że nie pomyślałam o tym kluczu! Zresztą, po kiego licha mamy w każdym pokoju klucz?

- Mamó? - zapukałam głośno w drzwi. - Otwórz. Zamknęłaś mnie?

- Tak, bo nigdzie z nim nie pójdziesz. On miastowy, jeszcze ci co zrobi. Popatrz jak to dopadło wczoraj.

Nie. Nie, postanowiłam. Tak się ten wieczór nie skończy! Dokończyłam ubieranie i otworzyłam okno. Pokój miałam na

parterze i nieraz wyskakiwałam do ogrodu, więc nie widziałam żadnej przeszkody.

- Anka? Co ty tam robisz?

Nie odpowiedziałam, bo już lądowałam na trawie i biegłam przez ogród do czekającego mnie Roberta.

- Wracaj! Słyszałaś! Natychmiast wracaj do domu!

Odwróciłam się, mama stała w oknie i wygrażała mi pięścią. Ale mnie było wszystko jedno, bo właśnie w przyływie jakiegoś natchnienia, czy też pod wpływem sytuacji, Robert pocałował mnie na przywitanie, a pode mną ugięły się nogi.

- Chodź, wynosimy się stąd, bo ona gotowa nas przez pół wsi gonić...

Udaliśmy się na obiecaną pizzę, którą zapiliśmy Heinekenem.

- Niezłą masz matkę - zauważył, uśmiechając się przy tym dwuznacznie.

- Tak, przepraszam za nią. Ona... chyba się o mnie martwi. Wiesz, nie pochodzisz stąd, więc jesteś w jej oczach zagrożeniem.

Przyjrzał mi się.

- Ty też tak uważasz?

Podniosłam wzrok. Matko, jakie on miał piękne te oczy!

- Ja? Nie... ja nie...

- Cieszę się.

Siedzieliśmy do późna i kiedy się spostrzegłam, zaczęli zamykać knajpę.

- Pójdziemy się przejść? Zanim cię odprowadzę?

- Mo-możemy - zająknęłam się, ponieważ mówiąc to, chwycił mnie za rękę, a ja przecież nie byłam przyzwyczajona żeby jakiś facet łapał mnie za rękę. W dodatku tak miałam z nim iść przez miasto? Co ludzie powiedzą?

Poszliśmy do parku. Prawie na każdej ławce siedziała jakaś obejmująca się i całująca para. Z każdym krokiem coraz bardziej ugiwały się pode mną nogi. Boże, czy i nas to czeka? Oczywiście chciałam tego, ale też nie chciałam, nie byłam pewna jak daleko mogę się posunąć, na ile mi pozwolę i zastanawiałam się też, czy umiem się całować, bo nigdy tego nie robiłam z żadnym facetem i... było tyle spraw, że wreszcie naprawdę ugięły się pode mną nogi. Robert czuwał, więc natychmiast podchwycił mnie mocniej. Instynktownie wyczuwał sytuację. Jak zwierzę na łowie.

- Hej, widzę, że ktoś tu troszkę za dużo wypił, co?

- Trochę... - odpowiedziałam niepewnie.

- Siadamy? - wskazał na jedyną pustą ławkę.

- Może... powinniśmy pójść do domu?

- Boisz się? Przecież nic ci nie zrobię - uśmiechnął się.

- Oczywiście, że się nie boję - skłamałam. - Tylko... tylko nie wiem, czy tu nie za zimno na siedzenie i...

- Masz - ściągnął i podał mi swój sweter. - Załóż, będzie ci cieplej.

Założyłam ją oczywiście i usiedliśmy na wskazanej przez niego ławce. Po chwili całowaliśmy się namiętnie, a dłonie Roberta pełzły po moim gorącym ciele. Zapominałam oddychać, kręciło mi się w głowie i gdybym nie siedziała,

leżałabym już dawno jak długa, wywalona na chodniku. Przechodziło to wszystkie moje oczekiwania!

- Podoba ci się?

- Uhm...

- Chciałabyś więcej? - zapytał cicho, szepcząc słowa wprost do mojego ucha.

Od razu wróciłam na ziemię. Co on, u licha, próbował ze mną robić? Nie jestem jakąś pierwszą lepszą puszczałką. Nie skończę na wygnaniu jak Kornelia, co to, to nie. Chyba postradał zmysły!

- Więcej czego? - zapytałam niepewnie, drętwiąc.

- No... przecież tego... - i znowu zaczął mnie namiętnie całować, a jego ręka odważyła się dotknąć mojej piersi. Jęknęłam, jeszcze nigdy żaden facet nie łapał mnie za piersi. Uczucie było wprost porażające, czułam jak gdzieś na dole robię się cała wilgotna, jak pierś nagle twardnieje, sutek się kurczy. Chciałam więcej, tak.

- Nie - powiedziałam wbrew swojej woli. Chciałam, ale przecież nie mogłam mu pozwolić na zrobienie „tego”, cokolwiek to oznaczało, tutaj na ławce, w parku jak jakaś... jakaś łatwa dziewczyna!

- Ale przecież podoba ci się. Mnie się też podoba. A może być jeszcze lepiej.

Jęknęłam już nie wiem który raz z kolei. Niby odciągałam jego rękę od swojego sutka, ale on zapierał się i natrętnie dawał mi do zrozumienia, że jeżeli chce tarłosić właśnie ten sutek, to będzie to robił. Podobała mi się jego siła i pewność siebie. Robert był po prostu idealny pod każdym

względem. Ale były dwa problemy: znałam go zaledwie dwa dni, a poza tym nie mogłam zrobić czegoś, czego bym później żałowała.

- Podoba mi się. Ale nic z tego. Więc lepiej weź rękę i zostaw mnie w spokoju. Nie jestem jedną z „tych” dziewczyn. Jeżeli na to liczyłeś, przykro mi, ale cię rozczaruję.

- Ale chciałabyś to ze mną zrobić? Powiedz.

- Chciałabym.

- Bardzo?

- Nawet więcej niż bardzo.

- To chociaż go dotknij. Tylko na chwilę.

Wiedziałam o co mu chodzi, ale dopiero kiedy rozpiął rozporek i wyjął ze spodni swoje twarde jak skała przyrodzenie, na którym położył moją dłoń, wstrzymałam dech. Czegoś takiego się nie spodziewałam. On w tym samym czasie zacisnął moje palce na penisie i zaczął delikatnie wodzić ręką w górę i w dół. Jęczał przy tym głośno, sapał i dyszał mi w ucho, a ja czułam, że za chwilę pozwolę mu na wszystko, czego tylko zapragnie. To nie zapowiadało się dobrze, dlatego wyrwałam rękę i odsunęłam się od niego.

- Zaprowadź mnie do domu.

- Teraz? - zapytał, wskazując na sterczący sprzęt.

- Teraz. Muszę iść do domu.

- Jesteś pewna?

Dlaczego on musiał ciągle zadawać te pytania?

- Tak, jestem pewna.

Westchnął.

- W takim razie, chodźmy.

Pospiesznie zapiął spodnie i poszliśmy w stronę mojego domu. Przez chwilę milczeliśmy, ale gdzieś w połowie drogi Robert zapytał:

- To może spotkamy się jutro? Wieczorem?

Nie musiałam się zastanawiać nad odpowiedzią.

- Dobrze.

- Cieszę się. Naprawdę. Nawet bardzo się cieszę.

- Ja... ja też.

Cieszyłam się, a z drugiej strony obawiałam, że jutro znowu będziemy zagłębiać się w te zakazane gry, a nie za bardzo mogłam sobie ufać. Musiałam nieźle uważać, żeby nie wdepnąć w gówno. Nie chciałam być wytykana palcem po całej wsi. Nie chciałam też oddać się pierwszemu lepsшему napotkanemu facetowi, który potem zwinie żagle i odpłynie w siną dal. Przecież nie byłam głupia, wiem co spotkało mamę. Ja nie powtórzę jej błędu! Nigdy w życiu!

- Twoja mama pewnie już śpi? - zapytał, gdy podchodziliśmy do furtki.

- Coś ty. Jak ją znam, siedzi w oknie i czeka.

- To straszne...

- Po prostu się martwi... - odpowiedziałam bez przekonania, ale podobnie jak on uważałam, że to straszne. Matka za bardzo mnie kontrolowała.

Stanęliśmy przed płotem, popatrzyliśmy sobie w oczy i nastąpiła krępująca chwila. On zbliżył się nieco, pewnie chciał mnie pocałować, ale kątem oka zauważyłam ruch firany w

oknie. Mama musiała czujnie się nam przyglądać i jakoś nie potrafiłam na jej oczach całować się z facetem. Odsunęłam się niechętnie z niepewnym uśmiechem.

- Mama patrzy...

- W porządku. Czego dziś nie zdążymy zrobić, nadrobimy jutro - mrugnął do mnie.

Przełknęłam ślinę. Był niesamowity.

- To do jutra.

- Do jutra.

Patrzyłam jak oddala się w stronę domu Adama. Był ugadany, że u niego przenocuje i kiedy tylko przyjdzie, zapuka w jego okno.

Potem otworzyłam furtkę i poszłam do domu.

Mama siedziała w moim pokoju.

- Mamo? Dlaczego nie śpisz? - udałam zdziwienie.

- Czekałam na ciebie - powiedziała z wyrzutem. - Ja, stara matka, czekałam na ciebie całą noc. Już prawie świta. Ale ty oczywiście nie przejmowałaś się mną, że ja tu siedzę jak jakaś ostatnia wywłoka, bo ty akurat sobie używałaś z tym miastowym lalusiem...

- Nie używałam sobie, mamo. Byliśmy na pizzy. Potem poszliśmy się przejść, spacerowaliśmy, noc przecież przyjemna, ciepła. W mieście ludzie nie śpią tak wcześnie jak my. Szkoda im życia...

- Jakoś dotychczas ci tego życia szkoda nie było.

- Ale teraz jest.

- Jutro cała wieś będzie gadać o której wróciłaś. Już twoja ciotka się tym zajmie. Widziałam z okna, że też czatowała.

Nie spała, bo wiedziała, że nie ma cię w domu.

- Przecież nie wiedziała!

- Powiedziałam jej. Przecież komuś musiałam się wygadać. Na nieszczęście zawsze ona jest pod ręką. Wie kiedy i jak człowieka podejść...

- Następnym razem nic jej nie mów. Niepotrzebnie robimy z igły widły. Mamo! Ja po prostu poszłam z kolegą na pizzę.

- A śmierdzisz piwem! - mama szturchnęła mnie palcem.

- Pięknie cię uczy pić piwa. Jak od tego się zaczyna, to potem wiadomo, czego się można spodziewać...

- Mamo, to tylko piwo. W mieście wszyscy piją piwo. Takie czasy.

- Ale ty mieszkasz na wsi. I do miasta masz daleko!

- Może kiedyś będę mieszkała w mieście? Kto wie...

- Wiesz co? Idź już lepiej spać. Zresztą też się muszę położyć, bo jakoś mnie w krzyżu boli...

- Mamo... - chciałam jej powiedzieć coś dobrego, ale rozmyślałam się. - Zresztą, nic. Dobranoc.

- Jak dla kogo ta noc będzie dobra. Ja już tej nocy z pewnością nie zasnę. Tak to jest, kiedy człowiek ma pełną głowę problemów...

Mama poczłapała do swojego pokoju, a ja pospiesznie zrzuciłam z siebie ubrania i położyłam się na łóżko, zasypiając od razu kamiennym snem, choć jeszcze sekundę wcześniej myślałam, że co jak co, ale tej nocy z pewnością nie zasnę.

Roberta widywałam właściwie każdego dnia i już po

bardzo krótkim czasie musiałam przyznać, że zakochałam się w nim po uszy i świata poza nim nie widziałam. Ten człowiek wyrzucił całe moje dotychczasowe życie do góry nogami. Działo się ze mną coś dziwnego, innego, nieznanego. I było mi z tym dobrze. Chciałam by tak było. Nagle przecież okazało się, że życie może być piękne, inne! Jedyny cień na mój związek z Robertem kładła mama. Od samego początku nie potrafiła pogodzić się z tym wszystkim. W domu zaczęły odbywać się dantejskie sceny. Jeszcze nie raz zmuszona byłam uciekać z domu oknem, wymykałam się po nocach i kiedy tylko się dało. Matka nieustannie czuwała i za każdym razem, gdy uciekałam z domu, robiła mi potem awantury. W pewnym momencie zauważyłam, że mama przestała chodzić tak często do kościoła. To dlatego, żeby mogła mnie mieć częściej na oku, jak powiedziała. A ja tak bardzo pragnęłam wolności. Chciałam być kochana, czy było w tym coś złego? Przecież zasługiwałam, jak każdy człowiek, na miłość, na kochanie. Nie chciałam skończyć jak matka, sama jak patyk. Ale obawiałam się, że jeżeli nadal będzie wtrącała swoje trzy grosze do wszystkiego i grzebała w naszym świeżym związku, wreszcie zdarzy się coś, co temu zabroni, zakończy to a Bóg mi świadkiem, nie chciałam tego za nic w świecie.

Robert często nocował u Adama, ale odpowiadało mi to. Zdarzało się też, że u brata Kornelki przebywałam dosyć często, tam mogłam spokojnie i przez nikogo nie osaczana, spędzać miłe chwile w objęciach Roberta. Kiedyś zauważyłam przyglądającego się nam uważnie Adama.

Patrzył na nas takim dziwnym wzrokiem... Jak tylko zauważył moje wlepione w niego oczy, odwrócił się w drugą stronę...

Musiałam też przyznać, że Adam nie był wcale taki zły, jak go sobie wyobrażałam. Nadal nie mogłam uwierzyć, że zrobił coś tak potwornego Kornelce, bo przecież był bardzo przystojny i cholernie mi się podobał, nawet teraz, kiedy maślanym wzrokiem wodziłam za Robertem. Kiedyś zapytałam go o Kornelkę.

- Ma się dobrze, urodziła i znalazła sobie jakiegoś faceta. Może nawet będą brać ślub...

- Więc odzywa się czasem?

- Oczywiście, przecież jestem jej bratem.

- A... a dziecko? Jakie jest?

Słyszałam kiedyś, że po takim spółkowaniu rodzeństwa w łóżku, kobieta może urodzić potwora lub upośledzone dziecko. To kara za to, że robili coś, co było niedozwolone.

- To chłopak. Kornelia piszę, że wygląda zupełnie jak ja...

Przełknęłam ślinę. A więc jest normalny? To dobrze...

- Prześle mi zdjęcie, obiecała - kontynuował Adam. - Pokażę ci, nie martw się. W końcu jestem dumnym wujkiem...

Akurat, pomyślałam. Jak on może żyć w takim zakłamaniu? Czy on naprawdę nic sobie z tego nie robi? Nie jest mu wstyd? Nie ma nawet na tyle przyzwoitości, żeby o tym nie mówić w ten sposób? Jakby... jakby był naprawdę dumny, że jest wujkiem! Jakim zresztą wujkiem? Przecież jest biologicznym ojcem!

Jakieś dwa tygodnie po poznaniu Roberta nadszedł wyjątkowy dzień. Wyjątkowy, ponieważ po raz pierwszy pozwoliłam mu włożyć rękę między nogi. Nie chciałam oczywiście zdejmować majtek, co jak co jestem porządną dziewczyną, ale kiedy on tak bardzo nalegał i mówił jak bardzo mnie kocha, bo już po tygodniu znajomości zapewniał mnie o tym każdego dnia, uległam i powiedziałam:

- Dobra, ale możesz tam tylko włożyć rękę. Nic więcej.

Obiecał, że nic więcej nie zrobi, ale gdy poczułam jak gmera mi ręką między nogami, zrobiło mi się tak ciepło i tak dziwnie, że zakręciło mi się w głowie. Jęczałam i wiłam się pod nim jak wąż przed skuszeniem Ewy w raju. Jednego byłam pewna: chciałam więcej! Dlatego też wystraszyłam się swoich pragnień i targającej ciałem gorączki i wyrwałam mu się z objęć. Stałam na wprost niego, wyglądem przypominając rybę, która dopiero co wyskoczyła z wody. W środku dosłownie się gotowałam. Byłam jak garnek parowy, gotowy w każdej chwili wybuchnąć, jeśli nie ściągnie się go z ognia.

Z tygodnia na tydzień było coraz gorzej. Powietrze pomiędzy nami niemalże strzelało od wzbierającej namiętności i podniecenia. Nagle świat przestał dla mnie istnieć a zamiast tego ogarnęła mnie obsesja: gdziekolwiek spojrzałam, wszędzie widziałam Roberta. Nocami śniłam o nim, najczęściej były to mokre sny, pełne pocałunków i zakazanych spraw małżeńskich. Budziłam się czerwona na twarzy jak piec oraz mokra od potu spływającego po całym

ciele. Szkoła od razu poszła w zapomnienie, zapomniałam o swoich obowiązkach, nie myślałam o niczym, nawet o jedzeniu, do którego teraz mama musiała mnie zmuszać. Nie interesowało mnie nic poza Robertem. Chciałam go, pragnęłam całym ciałem i sercem. I, jak wiadomo, zawsze gdzieś musi być kres wszystkiego. Kulminacja nastąpiła w miesiąc po naszym pierwszym spotkaniu.

Rozmawialiśmy z początku spokojnie, niezobowiązująco. Przyniósł mi różę, był to pierwszy i ostatni mężczyzna, jaki kiedykolwiek przynosił mi kwiaty. Znowu leżeliśmy na łóżku Adama, wciśnięci w siebie ile tylko się dało. Całowaliśmy się długo, aż każdemu brakowało tchu. Pozbyłam się koszulki oraz sukienki i wtedy Robert powiedział, próbując zdjąć mi majtki:

- Tylko popatrzę...

Pozwoliłam mu je zdjąć, dotykać się i całować, drżąc jak osika na wietrze. Nagle stwierdziłam, że mężczyzna obok mnie również pozbył się ubrania i nie widziałam nic oprócz jego nabrzmiałego penisa, którym dotykał mnie o udo, pozostawiając na nim ślady śluzu.

W pewnym momencie zauważyłam coś za jego plecami, ale przecież Adama nie było w domu, więc nie mógł nas podglądać. On zasłonił mi oczy dłonią i położył się na mnie.

- Nie - szepnęłam. - Wiesz, że nie możemy...

- Wiem... - szepnął, przelękając ślinę. - Ale może...

- Pamiętaj o umowie... po ślubie...

Jakiś czas temu uzgodniliśmy, że jeżeli ma do tego dojść, to tylko po ślubie. Zamierzałam iść przez kościół z zielonym

wiankiem na głowie i z dumnie podniesionym czołem. Zresztą mama by sobie też tego życzyła.

Robert leżał na mnie i powoli, coraz niecierpliwiej jego penis zbliżał się do miejsca przeznaczenia. Tam, gdzie nawet pośród ogromnych ciemności, zawsze odnajdzie drogę, choćby działo się cokolwiek. Tak to przecież zaplanowała przyroda. Czułam go napierającego na mnie pomiędzy nogami, jak powoli zagłębia się we mnie lekko, ale jeszcze nie na tyle, żeby doprowadziło to do tragedii.

- Wyjdź za mnie jak najszybciej - jęknął mi do ucha, a napięcie zwiększyło się.

Przestałam myśleć racjonalnie, może nawet nie chciałam już myśleć, a słowa o ślubie zrobiły swoje. Nagle po prostu poczułam, że to jest to. Tak właśnie ma być, niech się więc to stanie, bo nie ma rzeczy na świecie, której bym nie chciała więcej.

- Chcesz... chcesz się... o-ożenić? - co on w ogóle do mnie mówił? Co to za język? Nic z tego nie rozumiem.

- Tak. Wyjdiesz za mnie?

Całował mnie w szyję, ugniatał jedną ręką prawą pierś i jednocześnie wchodził we mnie coraz głębiej. Ciało zaczęło stawiać opór przed takim natrętnym wdzieraniem się do mojego wnętrza. Słowa, których użył w stosunku do mnie, w jakiś sposób otworzyły mi umysł, wiedziałam przecież co to oznacza! Cokolwiek teraz zrobimy, będzie właściwe.

- Tak... tak...

I wtedy opadł na mnie i wydarzyła się rzecz, o której nikt nigdy mi nie mówił, nikt nigdy chyba nie opisał, bo przecież

tego uczucia nie da się opowiedzieć. Robert napał na mnie i opadł, przebijając się przez mur mojego zapieczętowanego ciała. Krzyknęłam. Na chwilę znieruchomiałam, wreszcie próbowałam się wyrwać, ale trzymał mnie mocno, przygniatając do łóżka swoim ciężarem. Coś się wydarzyło tam na dole, pomiędzy naszymi ciałami. Nagle poczułam więź z człowiekiem, jakiej nigdy dotąd nie odczuwałam, nawet kiedy myślałam, że lepiej już być nie może. W momencie gdy Robert wszedł we mnie głęboko, kiedy tak bardzo wypełnił mnie sobą, nagle wypełniła się magia życia, moje przeznaczenie. Każda kobieta przecież rodzi się po to, żeby któregoś dnia ten właściwy mężczyzna wypełnił ją sobą, wejrzał w głąb jej ciała, przebył drogę, jakiej jeszcze nikt przed nim nie przechodził i przebił barykadę wiodącą do szczęścia. W tamtym czasie spoglądając w oczy mojego kochanka, zrozumiałam, że połączywszy się przez tę krótką i jedyną w życiu chwilę, Robert zdolny był spojrzeć w moje wnętrze i byłam pewna, że jedynie jemu dane było dojrzeć cień mej ukrytej duszy. Ja zaś zatopiłam się w jego wzroku, gdzieś daleko, odpłynęłam w mrok, o jakim nie miałam pojęcia, tam gdzie stała ukryta jego dusza. W naszych krzykach, w gorączce ciał i mieszającego się potu ciał, gdy płonęliśmy oboje ogniem niewidocznym, ale żarłocznym jak dzikie zwierzę, oplatającym nas ze wszech stron, oddałam mu się cała. Już nigdy więcej nie miałam odczuwać tego nieznanego, ale jakże przyjemnego bólu, tej więzi, tego wyjątkowego zespolenia. W tamtym momencie nasze umysły otworzyły się i mogliśmy nawzajem czytać swoje myśli.

Otaczała nas aura miłości, w której zatopieni parliśmy do przodu. Robert zatapiał się we mnie coraz głębiej i głębiej, parł silniej i mocniej. Zapierało mi dech w piersiach i nie mogłam oddychać, powoli kręciło mi się przed oczyma, migwały światła, zmieniały kolory, a gdzieś tam w oddali mrugały nawet gwiazdy. Tak, najprawdziwsze gwiazdy! To dla nas zmieniały kolory, dla nas szeptały, śpiewały, mieniły się i błyszczały. Nie było świata, nie było nikogo oprócz nas i tego szczególnego połączenia. Zniknęłam również ja, jakbym nagle okazała się chwilowym złudzeniem, jakbym nie miała ciała, jakby to dusza oddawała się temu człowiekowi a nie moje ciało. A kiedy nadeszła kulminacja i gdy z głośnym sapaniem i jękiem Robert wbijał się we mnie niczym ogarnięty w gorączce, jakby opętał go bies, czułam że jestem zdolna wzlecieć na skrzydłach gdziekolwiek, do nieba, do gwiazd, tam gdzie było moje miejsce. Krzyczałam, gryząc go w ucho, on krzyczał ciągnąc mnie za włosy i prąc naprzód, a potem zamarł na chwilę, jakby nagle za przyciśnięciem guziczka na fotoaparacie, ktoś zrobił zdjęcie. Chwila ta trwała moment. Pot z jego brody skapywał na moją rozpaloną twarz, byliśmy mokrzy i wstrząsani siłami, o jakich nigdy nawet nie miałam pojęcia. Zamknęłam oczy. Robert położył się na mnie i czekaliśmy zanim nie uspokoją się nasze oddechy.

Kiedy otworzyłam oczy, nadal leżał na mnie, nadal czułam go w sobie. Raz za razem poruszał się we mnie powoli, leniwie. Był jak łódka na morzu, od czasu do czasu poruszana wiatrem. Czułam go tak intensywnie, że od

każdego jego poruszenia robiło mi się słabo. W dole brzucha odczuwałam przyjemne łaskotanie, które za chwilę, po raz drugi, zamieniło się w orgazm.

Robert zrobił ruch, jakby chciał się przewrócić obok mnie, ale powstrzymałam go.

- Nie wychodź... - szepnęłam. Musiałam i chciałam się napawać i kosztować tym nowym smakiem, jakim było odczuwanie kogoś w swoim własnym ciele. Jakimś sposobem czułam, że ten raz już nigdy więcej się nie powtórzy, że wraz z tym co przyszło - czymś nowym i idealnym, równocześnie coś umierało. Nagle odnaleźliśmy utracony świat, który w tym samym momencie umierał nam na oczach...

Doznania nigdy nie są takie same. Zmieniają się jak zmieniamy się my...

A potem zasnęliśmy.

Po raz pierwszy nie wróciłam na noc do domu. Rankiem obudził mnie promyk słońca padający mi na twarz. Otworzyłam oczy i od razu doszło do mnie, co się stało. Zalała mnie fala gorąca, ale nie od wspomnień dzisiejszej nocy, ale na samą myśl jak zareaguje mama na to, że nocowałam poza domem bez jej zgody. Nawet jej nie poinformowałam...

Wstałam i cała jakaś taka inna, nowa, obolała, ubrałam się pospiesznie, ignorując zaschnięte ślady krwi na udach. Robert spał jak zabity. Napisałam mu krótki list, położyłam tuż obok niego na łóżku i pospiesznie wydostałam się z domu.

Biegłam ile sił, zatrzymując się dopiero przed domem.

Zauważyłam nagle poruszenie się firany i stojący za nią cień. A więc mama czekała. Przeszłam przez plac i spróbowałam otworzyć drzwi. Nie udało się. Zamknięte. Zapukałam, ale nie było odpowiedzi. Poszłam od tyłu, tam też mieliśmy jedno wejście, niestety i to było zamknięte. Mama nie podeszła do drzwi, nie reagowała, udając pewnie, że nie ma jej w domu. Okrążyłam cały dom, okna pozamykane, cisza. Dom wyglądał na opuszczony, ale przecież wiedziałam, że mama siedzi w moim pokoju i czeka schowana za firaną.

- Mamo? - zapukałam w okno. - Mamo! Otwórz!

Cisza. Żadnej reakcji.

- Mamo?! Wiem, że tam jesteś, widziałam cię. Otwórz drzwi!

Jeszcze parę razy waliłam w okno, ale w końcu przestraszyłam się, że wybiję szybę, dlatego przestałam i podeszłam do drzwi. Zadzwoiłam. I nadal nic. Co ją ugryzło? Przecież wróciłam cała i zdrowa i... no tak, ale nie było mnie w nocy w domu. Mama miała swoje niepisane zasady, a jedna z nich mówiła, że co jak co, ale do domu na noc trzeba wracać. Tylko kurwy nie wracają.

Zrezygnowana, usiadłam na schodach, i podpierając się łokciami o kolana, oparłam na rękach głowę. Patrzyłam na zniszczone już trochę schody, które za jakiś czas będą wymagały odnowienia. Było chłodnawo i z głodu burczało mi w brzuchu. Do domu miałam zakaz wejścia. Mama musiała mnie ukarać.

Może z godzinę później zebrałam się w sobie i zaczęłam

znowu dzwonić. Nacisnęłam dzwonek i nie puszczałam, zaczęłam uderzać pięścią w drzwi, a nawet parę razy lekko kopnęłam, aby wreszcie zmusić ją do wyjścia, do otworzenia. Zero reakcji. Mama potrafiła być twarda jak skała. I nieugięta.

Wreszcie przyszedłam po rozum do głowy. Może mama była uparta i silna, ale ja miałam swoje sposoby jak ją zmusić do otwarcia drzwi. Nie chciała po dobroci, to będzie po złości, proszę bardzo. Zbiegłam ze schodów i podbiegłam do okna, trzy razy walnęłam w niego ręką, a potem krzyknęłam:

- Otwórz drzwi, bo jak nie, to idę do cioci i powiem jej wszystko! Słyszysz?

Cisza. Jakby naprawdę nie było jej w domu.

Więc odwróciłam się na pięcie i ruszyłam do furtki. Kiedy już ją niemalże zamykałam za sobą, otworzyły się drzwi i stanęła w nich mama.

- Z powrotem! - krzyknęła. - Do domu!

Zmiękła. Bała się, że wyśpiewam wszystko cioci, a do godziny dowie się o wszystkim cała wieś. Dlatego otworzyła.

Zawróciłam i weszłam do domu. Matka patrzyła na mnie buńczucznie, wojowniczo. Czułam, że dzień będzie dla nas ciężki.

- Gdzie byłaś?

- U Adama.

- Z Robertem?

Spojrzałam na nią dumnie.

- Tak.

Wymierzyła mi policzek. Zapiekło jak diabli.

- Zachowujesz się jak dziwka!
- Nie jestem żadną dziwką!
- Nie! To co to znaczy?

Mama wskazała na ślady krwi na spodniach i malinki zrobione mi przez Roberta na szyi. Jakim cudem krew znalazła się na moich spodniach, Bóg mi świadkiem, nie wiem do dziś. Ale wystarczyło mi spojrzeć na siebie żebym zamilkła. Zostałam pokonana.

- Przepraszam... że nie wróciłam na noc. Wiem, że się martwiłaś...

- Ty nic nie wiesz! Nic! - wypowiedziawszy to, mama zrobiła zwrot w drugą stronę i odeszła. Czułam się potwornie. Jak ostatnia najgorsza zdzira. Okropne uczucie.

Poszłam do pokoju, doprowadziłam się do porządku, odświeżyłam, zmieniłam ubranie i usiadłam, tępo wpatrując się w ścianę. Czasami jest tak, że człowiek może patrzeć w jeden punkt i po prostu nie myśleć. Mnie zdarza się to raz na jakiś czas. Wtedy tak właśnie było, bo pomimo że w głowie roilo się od dziesiątek myśli, to jednak potrafiłam je poskromić na tyle, by tępo wpatrywać się przed siebie z niewidzącym wzrokiem.

Po jakimś czasie weszła mama. Usiadła na fotelu, na jednym z oparc.

- Spałaś z nim. - Było to stwierdzenie, nie pytanie.
- Spałam.
- I co teraz będzie?

Spojrzałam na nią, nic nie rozumiejąc.

- Jak to co? Nic nie będzie. Poprosił mnie o rękę.

Mama prychnęła.

- Prędzej zniknie stąd niż dzień się będzie miał ku końcowi.

- On nie jest taki! - zaprotestowałam gwałtownie spoglądając na nią złośliwie. Skąd w niej tyle pesymizmu?

- Co ty możesz wiedzieć?

- A właśnie, że wiem!

- Już ci mówiłam - ty nic nie wiesz. Ja dobrze znam takich jak on. Tak, mieszkam na wsi i tak, jestem w jakiś sposób tym życiem tutaj ograniczona. Ale Anka, nie powinnaś z nim spać. Wierz mi, on nie jest dla ciebie...

Nagle zmiękłam. Nie chciałam walczyć z mamą. Chciałam, żeby było tak jak zawsze. Przecież można było dogadać się na spokojnie.

- Mamo, wiesz, że jeżeli będziesz mi stawiała na przeszkodzie to... to coś się między nami zmieni. Boję się, że się nawzajem znienawidzimy. Dlatego, proszę cię, nie rób nic wbrew mojej woli.

Wtedy też łzy zaczęły płynąć po jej twarzy. Poczułam się nieprzyjemnie. Mama nie powinna płakać z mojego powodu. Dlaczego do tego musiało dojść?

- Mamo, tylko, proszę cię, nie płacz.

- Nie, nie będę. - Otarła łzy. - Ty jesteś taka młoda i taka ślepa jeszcze. Jak ten kret co go wczoraj wykopałam w ogrodzie. Nie widzisz życia w tym prawdziwym świetle. Właściwym.

- Ale ja go kocham! Rozumiesz? Naprawdę go kocham! Poprosił mnie o rękę i chcę wyjść za niego za mąż. Jest

przystojny, opiekuńczy, zupełnie inny niż wszyscy.

- W tym akurat masz rację - westchnęła mama. -
Zupełnie inny...

- Mamo, obiecaj mi, że nie będziesz robiła problemów.
Proszę.

Usiadłam na podłodze tuż obok niej i wtuliłam głowę w jej nogi.

- Matusi, ciesz się moim szczęściem. Nie róbnmy nic, czego byśmy potem żałowały...

Mama siedziała przez chwilę cicho a wreszcie przytuliła moją głowę do siebie i gładząc ją, powiedziała:

- Dobrze. Nie będę robiła problemów. Ale nie możesz sypiać poza domem. Jeżeli chcecie, niech on przychodzi tutaj, nawet niech śpi, tylko po co to robić u obcych, kiedy w domu lepiej? I pomimo tego, że nie mam dobrych przeczuć co do niego, pobłogosławię wam. I będę życzyć szczęścia.

- Dziękuję - szepnęłam. - Kochana mamo...

Tak więc teraz Robert został przez mamę zaakceptowany i wszystko było na najlepszej drodze. Przyszedł wieczorem. Zasiedliśmy razem w pokoju, mama nawet postarała się i upiekła jabłecznik według przepisu nieboszczki babci. W domu pachniało cynamonem, bardzo lubiłam ten zapach. Robert przyniósł wódkę i zdziwiłam się bardzo, widząc mamę dotrzymującą mu kroku w picciu.

Będzie dobrze, myślałam, leżąc nocą w łóżku, bez Roberta, ten bowiem nie chciał zostawać na noc. Lepiej będzie jeśli damy mamie czas do oswojenia się z myślami, tłumaczył się.

Będzie dobrze...

Do ślubu szłam z zielonym wiankiem na głowie, chociaż tak naprawdę „wianek” dawno już straciłam za sprawą Roberta. Miałam ubraną prostą białą suknię mojej mamy, w której i ona szła do ślubu. Dzień był pochmurny i deszczowy a kiedy wróciliśmy do domu, rozpętała się burza.

Z początku mama zakładała, że gościna odbędzie się na świeżym powietrzu, przecież miałyśmy ogromny ogród, gdzie dałoby się przygotować wspaniałą imprezę, ale rankiem plany uległy zmianie. Na szczęście gości zaproszonych było niewiele, więc wszyscy zmieścili się w naszym domu. Ze strony Roberta przyjechali jego rodzice: posępni ludzie, ona otyła i gruba jak beka, on zaś szczupły, mały i łysiejący. Zupełnie nie przypominali, nawet w najmniejszym stopniu, Roberta, i przez chwilę zastanawiałam się, czy to aby na pewno są jego rodzice. Ja zaprosiłam Zuzię i parę koleżanek ze szkoły.

Był też Adam, który jak cień chodził za Robertem. Dużo razem przesiadywali, szeptali i pili. Ale przecież to dwaj najlepsi koledzy. Normalną reakcją było, że gdy jeden z przyjaciół tracił wolność, drugi czuł się zdradzony. Coś się zmieniało i nic już nigdy nie miało być takie samo, a na dodatek żony hetery miewały czujne oczy i na wiele rzeczy swoim mężom nie pozwalały.

Pomimo burzy za oknami wesele było huczne i grała muzyka. Siedziało się w jednym pokoju a tańczono w drugim. Rozejrzałam się ale nigdzie nie potrafiłam dojrzeć swojego męża. Zniknęli też jego rodzice. Postanowiłam go

odszukać. Weszłam po schodach na górę, tam też zauważyłam niedomknięte drzwi. Zbliżyłam się cicho i już zamierzałam wejść z uśmiechem na twarzy, kiedy usłyszałam coś, co zatrzymało mnie w miejscu.

- Czyli że ona o niczym nie ma pojęcia? - pytała matka.

- Nie...

- Nieźle sobie układasz życie... - mówił jego ojciec z wyraźną naganą w głosie.

- Ale czego mogliśmy się po tobie spodziewać.

- Myślałem, że się zmieniłeś, że...

- Że dorosłeś. Zmądrzałeś. Że...

- ... zostawiłeś te niemądre praktyki za sobą.

- Ale pomyliliśmy się.

- Nie pierwszy raz...

Jego rodzice wyraźnie się dopełniali w rozmowie. Poczułam niepokój. O czym oni mówili? Dlaczego w ich głosie słychać było taki jad? Dziś powinien być dzień wesela, wszyscy powinni się bawić. Ale widocznie Robert miał jakieś zatargi z rodzicami, o których nie miałam pojęcia. I dopiero teraz zrozumiałam, że tak naprawdę nie znam swojego męża. Nie przeraziło mnie to bynajmniej. Przed nami całe życie, mamy wiele czasu na poznanie. Na wszystko mamy jeszcze czas.

Odeszłam wtedy spod drzwi i wróciłam do gości.

- Gdzie byłaś? - zapytała Zuzia. - Chodź, musimy pogadać.

Pociągnęła mnie za rękę i zaciągnęła do jednego z pokoi. Popatrzyłam na jej wielki brzuch, za miesiąc miała rodzić.

- Jesteś w ciąży, prawda? - bardziej stwierdziła niż zapytała.

- Skąd wiesz?

- My kobiety znamy się na tym - poklepała się lekko po brzuchu.

- Tak, jestem w ciąży. Robert jeszcze nie wie, powiem mu dziś w nocy.

- Ładny jest ten twój Robert. Wiesz... może nawet za ładny, ma w sobie coś dziewczęcego: te pełne usta i oczy z długimi rzęsami. Jest męski, oczywiście, ale ma w sobie taką delikatność. Mój Juan taki nie jest, niestety.

- Juan? - zapytałam, nie rozumiejąc. Przecież, o ile mi się wydawało, jej facet miał polskie imię.

- Ah, prawda, nic ci nie mówiłam! Bo teraz wiesz, wychodzę za mąż za Juana, znałam go jeszcze przed tamtym żonatym, i nawet myślę, że to jego dziecko tak naprawdę. Po porodzie wyjeżdżam z nim do Barcelony, tam ma firmę i mieszkanie. Och, życie jest piękne. Jestem taka szczęśliwa.

- Cieszę się, że ci się układa. Promieniejesz...

- Gdybyś go widziała! Wiesz, taki prawdziwy Hiszpan. Jest ogromny i strasznie napalony - Zuzia roześmiała się cicho.

Umówiliśmy się, że kiedy już się zaaklimatyzuje w Hiszpanii, odezwie się do mnie. Napisze list. Miałam nadzieję, że tym razem wyjdzie jej to z Juanem. Życzyłam jej tego. Tak jak sobie życzyłam udanego związku z Robertem.

Wieczorem powiedziałam swojemu mężowi, że spodziewam się dziecka. Był szczęśliwy.

- Naprawdę? Jesteś pewna? - wykrzyknął.
- Zupełnie pewna - przytaknęłam.
- To cudowanie!

Przytulił mnie, a potem kochaliśmy się szalenie i choć łóżko skrzypiało, to jednak Robert w upojeniu, jak szczęśliwą wiadomością, tak też wypitym alkoholem, nie przejmował się tym wcale.

- Spokojniej - mówiłam ze śmiechem. - Mama usłyszy.
- Niech słyszy...

No właśnie. Niech słyszy!

Po ślubie nastał najpiękniejszy czas mojego życia. Robert oczywiście wprowadził się do nas. Jego stosunki z mamą wyraźnie się ociepliły, co bardzo mnie cieszyło. Przecież domyślałam się, że tak będzie. Oboje byli dobrymi ludźmi, na których mi zależało.

Robert okazał się niezwykle pracowity. Kiedy wracał do domu, od razu łapał się za jakąś pracę. Dom przecież nieustannie wymaga ludzkiej ręki, pielęgnacji. Zawsze było coś do roboty. Mama kiwała głową, patrząc na robiącego coś w ogrodzie Roberta, a ja uśmiechałam się szczerze, bo uznanie mamy dla mojego męża było dla mnie najlepszym prezentem.

Adam był częstym naszym gościem. Właściwie nawet już nie myślałam o tym, co zrobił Kornelii, przecież w głębi duszy nie był złym człowiekiem. Może to był błąd młodości? Parę miesięcy po ślubie pokazał mi zdjęcie jej dziecka, było to urocze małe stworzonko. Cokolwiek sprawiło, że dziecko to pojawiło się na świecie, to teraz widząc je, uważałam, że

nic nie mogło być takie złe, bo przecież czy zło może sprowadzić na świat coś tak pięknego? Nie...

Mijały miesiące. Sama lada dzień miałam zostać matką. Czekałam na to z utęsknieniem. Chciałam już trzymać owoc naszej miłości w rękach, pokazać go światu i dumnie iść przed siebie. Byłam szczęśliwa.

Krystian urodził się nad ranem o godzinie czwartej dwadzieścia pięć. Krzyczał głośno, tak głośno, że położne zaciskały dla żartów uszy. Był to silny i zdrowy chłopczyk o niebieskich oczach. I nie miał włosów na głowie, ale nie wszystkie niemowlęta je przecież mają.

Wróciłam do domu jako szczęśliwa matka. Dziecko nieźle dawało mi się we znaki i pierwsze miesiące okazały się niemalże morderczą, ciężką pracą. Nie wiem, jak bym sobie poradziła, gdyby nie moja matka. Dobrze ten świat jest wymyślony, pomyślałam, że Bóg daje nam rodziców. I nie jest ważne czy masz ich dwóch czy jednego. Ważne, by cię kochano, by ten ktoś był, bo to jedyna prawdziwa opoka, wyspa na szerokim morzu. Tylko rodzice sprawiają, że dawanie życia ma sens...

Kiedy po jakimś czasie doszłam do siebie, Robert dorwał się do mnie i znowu nastały czasy, które tak dobrze poznałam podczas naszych pierwszych tygodni znajomości.

Mój mąż był wspaniałym i czułym kochankiem, gotowym do miłosnych starć parę razy dziennie.

Dopóki nie wpadł na ten szalony pomysł...

Zdarzyło się to jednej nocy. Leżeliśmy razem, on wypił trochę więcej niż zwykle, był piątek i znowu nadchodziło

lato.

Leżeliśmy wtuleni w siebie, kiedy jego ręka spoczęła na mojej piersi. Zawsze zaczynało się to tak samo: łapał mnie za pierś, ugniatał ją, potem drażnił i ścisnął sztywniejący sutek... tej nocy nie było inaczej. Leżałam na boku, odwrócona do niego tyłem, on obejmował mnie ramieniem, jednocześnie ręką błądząc po moim ciele. Chciałam się odwrócić, ale zatrzymał mnie.

- Nie. Dziś może spróbujemy czegoś innego...

Spałam w lekkiej piżamie, którą wystarczyło tylko podźwignąć w górę, co też Robert w krótkim czasie zrobił.

- Jak? - zapytałam, ponieważ chciałam przyjąć odpowiednią pozycję, żeby było mu dobrze.

- Leż spokojnie. Dziś będzie inaczej - rozkazał.

Szybko pozbył się spodni od swojej piżamy. Potem poczułam jego gorący członek pomiędzy moimi pośladkami.

- Robert! - zaprotestowałam. Od razu zrobiło mi się cieplej, zrozumiałam o co mu chodzi.

- Ciii... spokojnie. Spodoba ci się.

Leżałam cała sztywna, napięta do granic. Minął czar i nagle, po raz pierwszy od dnia ślubu, zapragnęłam znaleźć się gdzieś zupełnie indziej.

Robert zaczął napierać na mnie. Przyjął odpowiednią pozycję, przychwycił mnie mocno i spróbował wejść we mnie od tyłu. Jęknęłam, spróbowałam wyrwać się, ale nie było to już takie łatwe. Mojego męża powoli ogarniało szaleństwo.

- Robert... nie...

- Spokojnie...

Na chwilę uwolniłam się z jego uścisku, kładąc się na placu ale on odwrócił mnie na brzuch. Pochylając się nade mną i sapiąc przy tym głośno zrobił rzecz, która nigdy nie załęgała się nawet w mojej głowie: wdarł się we mnie od tyłu.

Pominę ból, jaki wtedy przeszył moje ciało, ponieważ nie on tu jest najważniejszy. Ważne jest upokorzenie, jakie poczułam. Już po wszystkim nadal leżałam zapłakana, drżąca. Nie chciałam już nigdy więcej tego powtarzać.

Tej nocy nie zmrużyłam oka, byłam za bardzo wzburzona i rozczarowana swoim mężem i tym, co mi zrobił w nocy. Czułam się zbrukana i wykorzystana w najgorszy z możliwych sposobów.

- Wyglądasz okropnie - zauważyła mama. - Coś się stało?
- Nie, po prostu miałam ciężką noc.

Mama spojrzała wymownie na Roberta, ale już nic więcej nie powiedziała.

Parę tygodni później, sytuacja się powtórzyła. Tym razem kategorycznie odmówiłam. Robert patrzył na mnie jakbym powiedziała mu coś złego. Starał się mnie przekonać, ale byłam pewna swego. Nie i koniec.

Wzburzony odszedł do kuchni i wrócił po godzinie, pijany i cuchnący od wódki. Zaczął mnie całować i dobierać się do mnie.

- Zostaw mnie w spokoju! - warknęłam.

Zdenerwował się i jednym szarpnięciem pozbawił mnie piżamy.

- Jesteś moją żoną! Więc zachowuj się jak żona!
- Przecież niczego ci nie odmawiam. Rób ze mną

wszystko, tylko... tylko nie to.

- Ale ja chcę właśnie tego!

- Nie!

- Tak!

Chwycił mnie, zaniósł na łóżko i nakazał klęczeć, a potem wdarł się we mnie mocno. Zawylałam z bólu. Żeby nie obudzić dziecka, wcisnęłam twarz w poduszkę. Musiałam stłumić szlochanie.

Robert był brutalny i zachowywał się jak ktoś obcy. Czegoś takiego się po nim nie spodziewałam. Coś się z nami działo, a ja nie wiedziałam, co. Nie rozumiałam też dlaczego nie może być pomiędzy nami tak jak było dotychczas. Dlaczego raz na jakiś czas wszystko się musi psuć?

Pozostawił mnie tak i położył się spać. Tej nocy czułam się znowu zbrukana i opuszczona. Płakałam cicho tak długo, zanim nie zasnęłam.

Rankiem mama spojrzała na mnie wymownie, ale milczała. I dobrze, nie zniósłabym wypytywania.

Nie potrafiłam sobie z tym poradzić. Dlaczego on to chce robić? Dlaczego mnie to robi? Czym sobie zasłużyłam?

Zaczęłam myśleć jak sobie poradzić z tą nową sytuacją i od razu wpadła mi do głowy Zuzia. Pobiełam do cioci Gosi. Dała mi jej nowy adres w Hiszpanii, więc od razu napisałam list. Przyznałam się do tego, co Robert ze mną robi w łóżku i poprosiłam o pomoc, jak sobie poradzić z taką sytuacją. W końcu, co jak co, ale Zuzia była obyta w świecie i nie była w ciemnię bita.

List nadszedł dopiero po dwóch tygodniach. Zamknęłam

się w pokoju i rozerwałam drżącymi dłońmi kopertę.

Przyjaciółka pisała najpierw o swoim dziecku, informowała o kolejnej ciąży i szczęśliwym życiu w Barcelonie. Potem napisała:

„... zupełnie nie rozumiem twojej hysterii. Przecież to absolutnie normalne, że facet potrzebuje zmian i czasami chce to robić w inny sposób. Mężczyźni już tacy są, głuptasie. Powinnaś poradzić się mnie wcześniej, powiedziałabym ci czego masz się spodziewać po swoim mężu. Jeżeli chodzi o mnie, takie praktyki nie są mi obce i czasami wolę korzystać z nich, ponieważ, jak sobie możesz zdawać sprawę, jest to o wiele bezpieczniejsze niż klasyczne sposoby. A zmiany, powiem ci, i kobieta czasem potrzebuje. To o niczym nie świadczy, że jego ciągnie do czegoś innego. Więc nie rób w domu żadnych scen, bo niepotrzebnie dojdzie pomiędzy wami do konfliktów. Staraj się grać z nim w te same karty, jakimi gra on, a zobaczysz, że wszystko będzie dobrze, a i ty znajdziesz w tym zadowolenie.”

Ja i zadowolenie z czegoś takiego? Fuj! Ta Zuzia ma chyba pomieszane w głowie! Chyba nie myśli, że będę się na to godzić?

Przeczytawszy ten list, rozplakałam się. Właściwie nie wiem, jakiej odpowiedzi od niej oczekiwałam. Ale z tym listem wiązałam jakieś nadzieje. Tymczasem ona mi pisze, że praktykuje to samo a nawet jej się to podoba? Jak coś takiego może jej się podobać? Naprawdę nie rozumiałam tego. List od Zuzi pograżył mnie w nowym cierpieniu.

Kiedy wstałam następnego dnia, stwierdziłam, że Zuzia

miała rację. Może powinnam postarać się to polubić? Może jakoś dogadamy się z Robertem? Może, może... tego dnia miałam wiele pomysłów, minęła chwilowa depresja i byłam zdolna do poświęcenia i zmian. Do zaakceptowania sytuacji.

Wieczorem czekałam na niego w łóżku i kiedy przyszedł wreszcie, sama zajęłam się nim tak jak to lubił. Potem dałam mu do zrozumienia, że z chęcią dam mu to, czego chce.

Rozjaśnił się, uśmiechnął niepewnie.

- Jesteś pewna?

- Tak, jestem pewna.

Zrobiliśmy to, ale choć bardzo się starałam, nie potrafiłam znaleźć w tym ani odrobiny przyjemności. Po prostu ten styl mi nie odpowiadał i wiedziałam, że nie pozostanie mi nic innego jak zmuszanie się do tego czynu, bo z pewnością nie uda mi się przejść z tym do porządku dziennego.

Adam przebywał u nas bardzo często, jakby był mieszkańcem naszego domu. Kiedyś ciocia Basia zwróciła uwagę:

- Nie wydaje ci się, że on u was za często przebywa? Ludzie zaczynają o was gadać. Że niezły trójkąt tworzycie. W tych czasach to niby takie nowoczesne, amerykańskie...

- Ciociu, co też ciocia opowiada? Jaki trójkąt? Przecież Adam to jakby mój brat rodzony jest. Z Kornelką do jednej klasy chodziłam. Całe życie bawiliśmy się razem.

- Obyście tylko teraz nie wrócili do tych zabaw - przestrzegła ciocia. - W tym wieku to już niebezpieczne...

- Ciociu! - upomniałam ją.

- Ja nic przecież nie mówię! Nic mi do tego, ale ludzie mówią...

- A niech mówią! - machnęłam ręką. - Wolność Tomku w swoim domku, prawda?

- No oczywiście. Wiesz - ciocia zbliżyła się jeszcze bardziej, prawie że zawisła na płocie - mówi się jeszcze, że Robert...

- Nie chcę tego słuchać! Ludziska niech się sobą zajmą. Najważniejsze, że ja jestem szczęśliwa. I nie będę słuchała zazdrośników. Dlatego nie chcę nic wiedzieć. Zresztą, nie powinnaś ich słuchać, lub przynajmniej powinnaś ukracać wszystkie wysrane z palca plotki!

- Staram się, oczywiście - zapewniała gorąco, ale nie mówiła prawdy, zbyt dobrze ją znałam. - Jak miałą językami, to ja od razu staję w twojej obronie.

Więc ludzie gadali. Właściwie naprawdę mnie to nie interesowało, taka była prawda. Chciałam mieć swoje własne życie. I niech każdy z nich ma swoje. Zbyt wiele razy byłam świadkiem życia w strachu przed sąsiadami. Może mamie to odpowiadało, ale mnie nie.

Swojego kolejnego syna urodziłam dwa lata później. Nadaliśmy mu imię Dawid. Był zupełnym przeciwieństwem Krystiana, nie płakał, nie krzyczał, uśmiechał się od rana do nocy. Złote dziecko. Jakkolwiek mówi się, że matka zawsze najbardziej kocha swojego pierworodnego, tak u mnie było z tym na odwrót: moje szczególnie miejsce w sercu zajął Dawid. O takim dziecku śnią kobiety, grzecznym, dobrym, spokojnym i prawie nigdy nie płaczącym. Byłam nim

oczarowana. Robert jaśniał dumą, a mama, teraz już podwójna babcia Genia, chodziła po wsi dumna jak paw.

Razem tworzyliśmy piękną rodzinę i choć nie było pieniędzy na wyjazdy, choć nie przelewało nam się za bardzo, wystarczało, żeby żyć z pełnym żołądkiem i w czystości. W międzyczasie ukończyłam szkołę, do pracy nie chodziłam, ponieważ zajmowałam się domem i dziećmi.

W tym samym czasie Zuzia urodziła córeczkę, której dała na imię Sigrid. Jej życie nadal toczyło się w Barcelonie, ale nie miałam zbyt wielkiego pojęcia, jak się tam ma. Jej listy przychodziły raz na parę miesięcy i nie za wiele można z nich było wyczytać. Jej Juan widocznie musiał być ojcem jej pierwszego dziecka, ponieważ oboje dzieci były nie tylko podobne do siebie, ale również miały oliwkowe cery, ciemne oczy i czarne włosy, jak się dopatrywałam w dołączonych do listów zdjęciach. W zamian wysyłałam jej zdjęcia swoich pociech.

Pewnego dnia otrzymałam list od Zuzanki, w którym napisała tylko:

„Mam już tego wszystkiego dość! Już mi się nie chce żyć! Nie mam nic.”

Przeraził mnie ten list. Wtedy też zrozumiałam, że w Hiszpanii życie mojej przyjaciółki nie jest usłane różami i nie wygląda tam wszystko tak szczęśliwie jak mi opisywała. Coś się tam działo, a ja nie wiedziałam co. Jakimś siódmym zmysłem czułam, że dziewczyna potrzebuje pomocy, ale moje życie samo dawało mi czasem nieźle w kość, miałam tyle obowiązków. Robert zaczynał pić coraz więcej i coraz

później przychodzić do domu, mama się rozchorowała, więc na głowie miałam wiele problemów. Na jakiś czas zapomniałam o Zuzi. Ale miałam sobie o niej przypomnieć już niebawem...

Nie wiedziałam, co się dzieje z Robertem. To prawda, że po porodzie trochę przytyłam, nie miałam już takiej ochoty na seks i wieczorami padałam zmęczona, przypominając wyglądem raczej psa gończego, niż żonę. Obiad na stole był zawsze, w domu było czysto, a dzieci chodziły dobrze ubrane. Czasami urabiałam się jak wół, robiłam to z miłości, przecież do obowiązków żony należało dbać o dom, dzieci i męża. Więc dbałam. Ale Robertowi widocznie to nie wystarczało. Chciał czegoś innego. Spokoju? Może denerwowały go płaczące po nocach dzieci? Bo pomimo że Dawid był spokojnym dzieckiem, to potrafił budzić się nocami i płakać, jak każde małe dziecko potrzebujące czułości.

Wszystko byłoby dobrze, gdyby Robert nie zaczął pić. To alkohol odpowiedzialny jest za zło, które dostało się do naszej rodziny. Gdyby człowiek nie wymyślił tego diabelskiego picia... chociaż, gdy tak myślę, to nawet dobrze, że zaczął pić, bo gdyby nie pił, nigdy nie poznałabym jego tajemnicy...

Gdy Robert wypił, stawał się brutalny. Był to zupełnie nowy Robert. Po trzech latach małżeństwa nagle otworzyły mi się oczy i zobaczyłam go w zupełnie innym świetle. Czy to naprawdę on? Ten Robert? Mój Robert? Tak, był to on. Twardszy, brutalniejszy, choć nigdy mnie nie uderzył. Ale w

łóżku... gdy był pijany, zawsze wdzierał się we mnie od tyłu, wyprawiał ze mną rzeczy, o których wstydzę się tu napisać, dlatego to przemilczę. Czytając to, chcę później spokojnie spojrzeć sobie w lustrze w twarz...

Coś pomiędzy nami umarło. Co to było?

Miłość umarła...

I z początku wyrzucałam sobie, że za wszystko odpowiadam ja. To ja jestem inna po porodzie, gruba, nieatrakcyjna. Może za bardzo starałam się oddawać siebie dzieciom, a o mężu zapominałam...

Przestałam chodzić do kościoła i mama robiła mi awantury. Kłóciłyśmy się o to w każdą niedzielę aż wreszcie zagroziłam jej, że jeżeli nie zostawi mnie w spokoju, to się wyprowadzimy. Mama uległa. Bała się zostać sama...

Przestałam tyle jeść, zaczęłam dbać o siebie i łatwo, choć czasami uroniłam nad sobą parę łez, schudłam i na powrót odzyskałam dawną figurę. Jeżeli człowiek chce, uda mu się. Musi się tylko zmobilizować. Dlatego też nigdy nie rozumiałam, kiedy któraś kobieta zwała winę za swoją otyłość na antykoncepcję, na rodzenie dzieci, geny i takie tam różne babskie wymysły. To czyste lenistwo. Schudnąć może każdy, należy się tylko odpowiednio starać. Należy chcieć!

Pochłonięta sobą nie zauważałam, że naprzeciwko nas, w domu cioci Gosi dzieje się coś złego.

Tragedia wisiała w powietrzu...

Burza zawsze nadchodzi cicho, niezauważenie...

Pomimo mojej szczupłej sylwetki, nie potrafiłam już

zwrócić na siebie uwagi Roberta. A w tym samym czasie, kiedy ja byłam zajęta sobą i swoimi problemami, on przeżywał swoje problemy. Często człowiek widzi tylko własne kłopoty, jakby inni ludzie problemów nie mieli...

Pewnego wieczoru przyszedł do nas Adam. Była sobota, oboje z Robertem nie pracowali, więc pili. Wiele razy przyłapywałam się na tym, że Adam przygląda mi się tak jakoś dziwnie, uważniej, jakby mnie oceniał. Nie rozumiałam o co mu chodzi. Zastanowiło mnie też wtedy, o ironio dopiero wtedy, dlaczego taki przystojny facet jak on, nie znalazł sobie jeszcze żony. Przecież miał wszystko na swoim miejscu, nie był kulawy, ani ślepy. Był inteligentny, męski, nawet bardziej męski od Roberta. Wysoki, szczupły o silnych ramionach, z umięśnionym brzuchem, co rzadko kiedy można było spotkać u mężczyzny na naszej wsi. Był bystry, miał żywe oczy i uśmiechał się szeroko, pokazując światu swoje białe zęby. Adam był po prostu marzeniem każdej kobiety. Dlaczego więc się nie ożenił? Nigdy nie widziałam go nawet z żadną kobietą! Niby mężczyźni dojrzewają później niż kobiety, ale on już chyba dorósł dawno temu? W pewnym momencie moje przemyślenia przerwał płacz dziecka. Krystian popchnął Dawida i nasypał mu piasku na głowę. Pobiegłam za dziećmi...

Około dziesiątej w nocy byłam już bardzo zmęczona. Mężczyźni pili w kuchni, zostawiłam ich samych i udałam się do łóżka, marzyłam o śnie. Ten dzień kosztował mnie wiele wysiłku, dzieci z dnia na dzień wymagały coraz więcej sił i energii.

Przebudziłam się. Roberta jeszcze nie było w łóżku. Nie miałam pojęcia która mogła być godzina. Drzwi do kuchni były zamknięte, a zostawiłam je otwarte. Nie mogłam spać długo, może godzinę czy dwie. Weszłam do kuchni, chłopaków nie było. Przeszłam do drugiego pokoju, do którego zawsze zostawialiśmy drzwi otwarte. Tym razem były zamknięte. Otworzyłam je powoli i zapaliłam światło. Oboje leżeli nadzy na łóżku. Robert z nogami na ramionach Adama. Adam poruszający się nad Robertem. Pomyślałam, że ten Adam to jest naprawdę pięknie zbudowany i nieźle umięśniony. Robertowi też niczego nie brakowało, ale Adam był znacznie przystojniejszy, choć moim typem był mój mąż. A potem wszystko zrozumiałam. Dotarła do mnie cała sytuacja. Ugięły się pode mną nogi. Widziałam strach malujący się w oczach Roberta. Pijanego, uśmiechającego się Adama, zanim jeszcze mnie zobaczył. Czułam zapach miłości w tym zamkniętym pokoju i siłą rzeczy zakręciło mi się w głowie.

Często myślałam o sobie jako o silnej kobiecie. Tak naprawdę nigdy nie byłam silna. A już zupełnie nie w tamtym momencie.

Zgasiłam światło i zamknęłam drzwi. Na drżących nogach wróciłam do pokoju, usiadłam na łóżku z nogami podciągniętymi pod brodę, objęłam je, kołysząc się w tył i w przód. Chciałam umrzeć. Czułam wstyd. Bezsilność. Serce mnie bolało! Tamtej nocy naprawdę bolało mnie serce, bolała dusza... scena, którą zobaczyłam, złamała mnie na pół. Nie wiedziałam, czy jeszcze będę w stanie wstać o

własnych siłach, moje ciało jakby sparaliżowało od serca w dół. Bo głowa pozostała trzeźwa. W głowie roiło się tysiące myśli. Głowa była jak bomba zegarowa, w każdej chwili mogła wybuchnąć.

Najgorsze w tym całym zajściu nie było to, że przyłapałam swojego męża z kochankiem w łóżku. Przecież gdzieś w podświadomości czułam, że on taki właśnie jest, ale nie docierało to do mnie. A może nie chciałam dopuścić tych myśli do siebie, bo nie chciałam widzieć prawdy?

Najcięższe do zaakceptowania dla mnie było to, że oni oboje tak bardzo do siebie pasowali...

Teraz też od razu przypomniała mi się rozmowa podsłuchana w dniu naszego ślubu. Wtedy, gdy rodzice robili mu wymówki...

Czy dwa męskie ciała mogą połączyć się w jedno i wyglądać przy tym pięknie? Tak, mogą. Mówię to ja, kobieta, która była tego świadkiem, która to przeżyła, która w tym wszystkim uczestniczyła.

Wyglądali pięknie, tam na tym łóżku.

I to mnie tak bardzo zabolalo...

Robert przyszedł do mnie po jakiejś chwili. Nawet nie zdawałam sobie sprawy, że płaczę, dopóki nie otarł łez spływających mi po policzku. Usiadł na podłodze, ułożył głowę na moich bosych stopach i zapłakał. Adam siedział w kuchni. Powiedziałam:

- On też tu może przyjść...

Najpierw spojrział na mnie jakby nie rozumiał, potem poszedł po niego i wprowadził do pokoju. Adam usiadł na

fotelu, Robert obok mnie.

- Co teraz? - zapytałam ze zdławionym gardłem. - Jak to sobie wyobrażacie?

- Czego chcesz ty? - zapytał Robert cicho.

- Kochasz go? - nie odpowiedziałam na jego pytanie.

Spojrzeli na siebie. Chwila prawdy...

- Kocham...

Przełknęłam ślinę i skinęłam głową. Popłynęły kolejne łzy. Bałam się zadawać następne pytania, ale jeżeli tego nie zrobię, będzie mnie to nękać do końca życia.

- Kochałeś mnie kiedykolwiek?

- Kocham cię nawet teraz.

- Mam w to wierzyć?

- Musisz w to wierzyć, bo taka jest prawda.

- To dlaczego on? - szepnęłam.

- Bo od czasu kiedy go poznałem, nie potrafiłem się od niego uwolnić. Uczucie do niego było zbyt silne.

- A ja?

- Ciebie też pokochałem. Widzisz, we mnie żyją jakby dwie osoby. Kiedy udaje mi się na chwilę uciszyć jedną, do głosu dochodzi druga połowa. W momencie gdy cię zobaczyłem, wiedziałem, że to jest to, czego od życia pragnę. Ale pomimo wszystko nie mogłem się uwolnić od Adama. Tego nie da się opisać, nawet nie wiem, jak ci to mam wytłumaczyć.

- Zdradzałeś mnie z nim - zauważyłam oskarżycielskim głosem.

- Starałem się do tego nie dopuszczać. Po ślubie

skończyłem z nim wszystko, co nas łączyło. Ale którejś nocy znowu coś we mnie pękło. Pożerała mnie tęsknota...

- Co teraz z nami będzie?

- Nie wiem, ale nie chcę rozwodu. Może jeszcze uda nam się... być razem.

- Przecież sam w to nawet nie wierzysz? To się już nie uda.

Zapadła chwila ciszy.

- Możemy spróbować...

- Możemy... - powiedziałam, ale nie byłam przekonana, czy chcę próbować.

Nastąpiła chwila ciszy.

- Nigdy nie pomyślałabym o tobie w ten sposób, Adam - zwróciłam się do mężczyzny siedzącego obok. To dziwne, jak łatwo mi się z nimi rozmawiało, pomimo zaistniałej sytuacji.

- Myślałam, że... na Boga, przecież zgwałciłeś Kornelię. Zrobiłeś jej dziecko! Własnej siostrze. Myślałam, że jesteś...

- To nie ja zgwałciłem Kornelię...

Uniosłam brew.

- Nie ty?

- To nie ja - powtórzył z naciskiem.

- Więc w takim razie kto?

- Ojciec...

- Mój Boże...

A więc to nie Adam był tym potworem, a ja przez tyle lat myślałam o nim źle! Tak łatwo o niewłaściwą interpretację, o skreślenie drugiego człowieka, oskrajanie...

- To dlaczego Kornelia powiedziała, że to ty?

- Przecież ją znałaś. Zawsze lubiła opowiadać bajki, zmieniać coś, fantazjować.

- Tak, teraz wszystko rozumiem. Tylko dlaczego nic nie powiedziała?

- A ty byś powiedziała? Doniosłabyś na własnego ojca?

Tak, miał rację. Chyba i ja nie byłabym zdolna... może właśnie dlatego Kornelia potrzebowała jakoś odreagować, znaleźć kozła ofiarnego i wybrała sobie brata, bo ten nic by jej nie zrobił, nawet gdyby dowiedział się, że źle o nim mówiła...

- Muszę się napić - powiedziałam cicho.

Adam przyniósł nową butelkę wódki i trzy kieliszki. Chwyciłam butelkę, odkręciłam i napiłam się z niej. Ciepło rozgrzało w przelyku, w brzuchu. Zrobiło się przyjemniej. Piłam pierwszy raz od ślubu. Potrzebowałam tego.

Chłopaki zaczęli rozlewać wódkę...

Dni, jakie nastąpiły po tej nocy pogrążyły mnie w czarnej rozpacz. Nocą nie wyglądało to tak tragicznie, ale po przebudzeniu, z bolącą głową i płaczącym dzieckiem, załamalam się.

Nie tak wyobrażałam sobie życie.

Nie taki miał być mój świat...

Mama zauważyła, że coś się wydarzyło, ponieważ starała się pomagać jak tylko mogła. Zabierała dzieci do swojego pokoju, zabawiała je, a nawet zrobiła im piknik w ogrodzie. Z czasem udało się nam z matką dojść do większego porozumienia. Nie wchodziłyśmy już sobie w drogę, starałyśmy się pomagać sobie nawzajem i kiedy jednej

działo się źle, druga automatycznie wyczuwając sytuację, starała się pomóc.

Nie miałam ochoty na nic i za każdym razem, wyglądając z okna na ogród, łzy napływały mi do oczu. Nieustannie męczyła mnie myśl: co mi przyniesie przyszłość?

Ksiądz Andrzej mówił mi wiele razy, że Bóg daje nam tylko takie problemy, z którymi jesteśmy w stanie sobie poradzić. Wtedy myślałam, że już nic gorszego nie może mnie spotkać, przecież każda wielka tragedia, bo nie oszukujmy się, było to dla mnie tragedią, jest największa i nic nie może być gorsze od tego, co nas w danym momencie w życiu spotyka. Musiałam unieść ten krzyż i pójść dalej. Byłam kobietą i matką, więc nie mogłam się poddać. Bóg nie dał mi przecież ciężaru nie do udźwignięcia.

Gdybym wiedziała, co jeszcze szykuje mi los... w ciągu tych paru dni po dowiedzeniu się prawdy o Robercie, z pewnością rzuciłabym się pod pociąg. Jak Anna Karenina. Bo nie wytrzymałabym tego kolejnego egzaminu. Na szczęście Bóg wiedział, co robi, dlatego dał mi teraz czas, a kolejny cios miał nadejść dopiero za parę lat...

Jakoś przetrwałam ten ciężki okres. Już po tygodniu było znacznie lepiej, a po dwóch miesiącach życie wróciło do normy. Pisząc tu „wróciło do normy”, nie mam na myśli spokoju i zapomnienia. Nie. Płakałam jeszcze rok po tej fatalnej nocy. Krzyczałam do poduszki, zakryta pierzyną. Oskarżałam w myślach i wygrażałam, że „ja mu jeszcze pokażę”, ale rano składałam swoje połamane serce i starałam się przeczekać.

Pewnej nocy Robert spróbował zbliżyć się do mnie. Pozwalałam mu na dotyk, gładzenie ciała, pocałunki i szepty w ciemnościach. W momencie gdy miało dojść do naszego połączenia, nie potrafiłam się przed nim otworzyć. Odwróciłam się ze szlochem, nakrywając się kołdrą. Tej nocy zrozumiałam, że już nigdy nie będę mogła z nim spać. Coś we mnie umarło. Nie zamierzałam dzielić się z nim nawet z Adamem, a kiedy już się to stało... po prostu nie mogłam.

Nasze małżeństwo dobiegało końca. Kochałam Roberta, ale do życia potrzebowałam czegoś więcej. A dodatkowo, gdzieś w głębi mnie, siedział zaczajony strach, obawa przed tym, że przecież prędzej czy później Robert znowu znajdzie się w ramionach Adama. Bo wilka zawsze ciągnie do lasu...

Po trzech miesiącach ogłosiliśmy rozwód i po wsi błyskawicą poszła plotka. Rozpętało się piekło.

Mama szalała, ciocia Basia latała po wsi jak opętana, nowa wiadomość wymagała szybkich obrotów, więc ganiała od domu do domu jak obłąkana. Na końcu stanęła przed kościołem i wszystkim wychodzącym, kto tylko był zainteresowany, wyjawiała sensacyjną wiadomość.

- Od początku wiedziałam, że tak się to skończy - powiedziała mama.

- Tak, zawsze kiedy coś się wydarzy, wszyscy są mądrzy. Każdy wie. Wy zawsze wszystko wiecie! - prychnęłam.

- Przestrzegałam cię. Wbrew temu, co sobie myślisz, wiedziałam, co on jest za jeden. Nie żyję na tym świecie jeden dzień, Anka.

- Dobra! - stanęłam wojowniczo i podparłam się rękami o biodra, bo doszła mi cierpliwość. - Więc jaki to on jest według ciebie?

- Powinnaś zapytać raczej: kim!

- No? Więc niby kim jest?

- Pedalem.

Zamurowało mnie. Dosłownie wcięło mnie w podłogę i natychmiast krew stąpnęła mi do głowy. Poczułam jak czerwienieją mi policzki, jakby matka dała mi w twarz.

- S-skąd w-wiedziałaś? - zająknęłam się, spuszczać z tonu.

- Był podobny do twojego ojca. Taki sam gagatek. Prędzej czy później musiało stać się coś złego. Tacy jak on nie wytrzymują długo na jednym miejscu. Twój ojciec był taki sam.

- Chcesz powiedzieć, że tata był... - to słowo nie przeszło mi przez usta.

- Był, nie był. Co za różnica? W końcu każdy będzie leżał pod trawnikiem.

- Ale czy był...

- Pedalem? Nazywajmy sprawy jasno, córuś, już za stare jesteśmy, żeby się czegoś wypierać. Był. Taki sam jak twój Robert. Dlatego byłam przeciwko wam od początku. Potem zmięklam i, jak to głupi człowiek, pomyślałam, że może będzie inaczej? Może nie będzie taki jak ten mój? Bo przecież w życiu nigdy nic nie wiadomo. Ale sytuacja się powtórzyła, niestety. Przykro mi.

- Pamiętam... ciocia Basia mówiła, że latał za babami, że

był jak pies spuszczone z łańcucha i żadnej nie popuszczają...

- Bo i owszem, był taki. W końcu musiał tu odgrywać jakąś rolę. Ale często jeździł do miasta, a tam miał swoich stałych kochasiów. Wytropiłam go, wiedziałam o wszystkim. Nie pozwoliłam się oszukiwać!

Musiałam usiąść na tapczanie. Mama podeszła do mnie, usiadła za mną i przytuliła mnie do siebie.

- Nie przejmuj się. Nie załamuj. Nie warto płakać nad rozlanym mlekiem, przecież wiesz. Jeżeli już się wylało, to trzeba powycierać.

- Mamo... - zapłakałam. - Tak mi ciężko. Tak mi cholernie ciężko.

- Wiem, kochanie. - Mama pogłaskała mnie po głowie, po twarzy.

- Nie wiem właściwie jak żyć. Tyle... tyle miałam planów. Tyle oczekiwałam. Czy chciałam aż tak wiele? To tak bardzo boli...

- To płacz, kiedy boli. Ból musi się wydostać, inaczej zniszczy cię od środka. Płacz, dziecko moje.

- Wszystko się rozsypało. Czuję się... gorsza, zużyta i niepotrzebna. Przegrałam z facetem, rozumiesz? Czy może być coś bardziej upokarzającego?

- Może, gorsze byłoby, gdyby odszedł do innej kobiety. Tego byś nie potrafiła znieść. A tak... tak dasz sobie radę.

- Każdego ranka budzę się i nie chce mi się żyć! Odeszła mi cała radość, nawet dzieci, ja wiem, że nie powinnam tego mówić, mamo, ale nawet one nie dają mi już tego szczęścia. Czuję się tak, jakby coś we mnie umarło.

- Więc niech umiera, co ma umrzeć. Jeżeli coś umrze, zrobi się miejsce na coś nowego, na nowe życie. Zawsze tak bywa, że coś umiera, a coś się rodzi. I u ciebie będzie tak samo.

- Mamo, tak mi dobrze, gdy mnie gładzisz po włosach, przytulasz. Czuję się, jakbym była znowu dzieckiem. Dlaczego dzieciństwo nie może trwać wiecznie? Myślałam, że już dawno między nami coś umarło, że już nie ma tej matki, którą znałam. Cały ten kościół, problemy... myślałam, że już nie jesteś taka jak kiedyś...

- Córeczko, ja zawsze będę taka sama. Prawda, chodzę do kościoła częściej niż powinnam, ale zawsze będę taka sama. W każdym razie bardzo bym taką chciała pozostać.

- Jak ci się udało? Jak sobie poradziłeś z tym wszystkim? Z bólem? Z tęsknotą? Bo ja nadal go kocham i tęsknię, ale nie mogłabym z nim żyć.

- Tęsknota kiedyś minie. Ból serca też. Wszystko mija. To, chociaż może wydawać się dziwne i czasem nieprzyjemne, ale to dar od Boga, przemijanie. Z czasem zrozumiesz...

- Chciałam... mamo, czy aż tak wiele chciałam?

- Nie, kochanie. Ale każdy ma swój krzyż w życiu do dźwigania. Po prostu nie poddawaj się i idź dalej. Jak ja...

Rozmowa z matką na dobre odbudowała nasze wzajemne stosunki, które zmieniły się w jeszcze większe przywiązanie, w zrozumienie. Może mama miała rację, że z czegoś złego stanie się coś dobrego. Nasza więź znowu stała się silna, jak dawniej. Mama w tych ciężkich czasach była dla mnie

wielkim wsparciem.

Życie bez Roberta stało się puste. Czułam się tak, jakby nagle ktoś pozbawił mnie którejś części ciała. Długo nie potrafiłam przyzwycząić się do jego braku. Tym bardziej, że zamieszkał z Adamem, nie przejmując się tym, co gadają ludzie.

- Daj temu czas - nieustannie powiadała mama.

Zajęłam się wychowywaniem dzieci, to one nagle stały się centrum mojego małego świata. Właściwie nie wyobrażałam sobie bez nich tego domu, siebie, mamy bez wnuków, wnoszących do naszego życia wiele pozytywnej energii, chociaż czasami padałam ze zmęczenia.

Chcąc nie chcąc, wieś po paru miesiącach ucichła, zawsze tak przecież jest. A pomogła mi w tym, brutalnie mówiąc, Zuzanka, to za jej sprawą ludzie zapomnieli o mnie...

Dokładnie pamiętam tamten dzień: był niezwykle słoneczny i parny. Ludzie siedzieli pozamykani w domach, czekając na zmierzch. Ale zanim słońce zniknęło za najbliższym lasem, ktoś zaczął głośno walić do drzwi. Otworzyłam pospiesznie, to ciocia Baśka wcisnęła się na siłę do środka.

- Boże, taka tragedia! - zawołała, a mnie zmroziło w żyłach krew. Już nie chciałam żadnych tragedii, ledwo wy dostałam się ze swojej, nie zniosę więcej.

- Co się stało? - zapytała mama.

- Matko Boska, ty mi Genia wody nalej, bo ja zaraz jak mucha padnę. Kto by to powiedział? Takie nieszczęście.

Pobiegłam szybko po wodę, ona zresztą już zdążyła wejść za nami do kuchni. Usiadła na krześle łapiąc ze stoła gazetę i wymachując nią sobie przy twarzy. Pot z niej spływał strumieniami, widocznie biegła przez całą wieś.

Odetchnęła i wyrzuciła z siebie:

- Zuzia nie żyje.

- CO?!

Obie z mamą stanęłyśmy jak wryte. Zuzia? Ciocia Basia chyba się już starzeje, wymyślać takie rzeczy, to wprost karygodne.

- Co ty pleciesz, Baśka? - przyjrzała się jej mama. - Boga się nie boisz, głupia?

- Przysięgam, jak Boga kocham, że to prawda. Właśnie się dowiedziałam. Ona tam się zabiła, w tej Hiszpanii. Po co tam jeździła? Diabeł ją tam ciągnął!

- Jezus Maria, co się stało? Jak się zabiła? - zawołałam.

- No, zabiła. Gadają, że się powiesiła.

- Boże...

Musiałam usiąść. Zabrakło mi tchu. Zuzia nie żyje? Ja chyba zwariuję...

- A co dzieci? Co z nimi?

- Nic więcej nie wiem. Może Gosia coś więcej...

- Jezus Maria - znowu powiedziałam - przecież ciocia Gosia zwariuje! Idę do niej.

I nie czekając na nic wybiegłam z domu. Raz dwa znalazłam się pod ich drzwiami i zadzwoniłam. Otworzyła zapłakana ciocia. A więc to prawda...

- Ciociu...

Wpadłyśmy sobie w ramiona. Zdążyłam jeszcze zauważyć, że gdzieś zniknął jej makijaż, że włosy miała nieulożone i ubrana była byle jak. Po raz pierwszy w życiu.

Zaprosiła mnie do środka. Usiadłyśmy obok siebie i opowiedziała mi, co wiedziała. Zuzia jakiś miesiąc temu rzekła się praw do dzieci, zaadoptowali je rodzice Juana. Zrobiła to, jakby przeczuwała, jakby wiedziała, że coś sobie zrobi...

- Czy naprawdę zrobiła to sobie sama? - zapytałam ostrożnie, cicho.

- Znaleźli ją w zamkniętym od wewnątrz pokoju. Powiesiła się na hakach umieszczonych nad drzwiami, wiesz, takich na których zawiesza się huśtawkę. Wszystko zaplanowała...

- C-co teraz?

- Nie wiem. Ja już nic nie wiem...

Następnego dnia ciocia wyjechała z wujkiem do Hiszpanii. Po dwóch tygodniach wrócili z ciałem Zuzanki. Nie obyło się bez problemów prawnych, robiono sekcję zwłok, czy aby przypadkiem w śmierć nie były zaplątane osoby trzecie, należało podpisać tysiące papierów...

Pogrzeb odbył się trzy dni później i był to jeden z tragiczniejszych pogrzebów, w jakich dane mi było uczestniczyć. Zebrała się cała szkoła, do której chodziłyśmy z Zuzią, jej grób obsypały tony kwiatów, zagrała orkiestra. Gruby ksiądz tak dobrze się o niej wypowiadał, choć zupełnie jej nie znał.

Później dowiedziałam się, że były jakieś problemy,

ponieważ ksiądz odmówił pochowania Zuzi w poświęconej ziemi. Ale wystarczyło tylko odpowiednio posmarować pieniędzmi a już sytuacja wyglądała inaczej. Wtedy ksiądz zmienił zdanie.

Przytoczę tu jeszcze krótką historię:

W niecały miesiąc po pogrzebie Zuzi, w naszej wsi zabił się młody chłopak. Nie wiem o kogo chodziło, ale przyjechał tu z daleka, ponieważ poznał dziewczynę, w której się zakochał. Pozostawił swoje miasto, przyjeżdżając w nasze strony. Zamieszkał u jej rodziców, razem z nią. Żyli tak przez trzy miesiące. Tego nieszczęśliwego dnia robił coś przy drutach wysokiego napięcia i prąd go zabił. Ksiądz kategorycznie odmówił pochowania w kościele, ponieważ żył w grzechu i bez ślubu. Wieś się zbuntowała. Powstali wszyscy mieszkańcy i udali się na probostwo. Pluli proboszczowi w twarz, krzyczeli i wyzywali. Doszło nawet do rękoczynów. Nakazali mu pochować chłopaka na cmentarzu i wyprawić mu odpowiednią mszę w kościele. Ksiądz musiał ustąpić. To straszne w jakich czasach żyjemy. To straszne, że ksiądz zakaże ci wstępu do kościoła, że wyciąga ręce tylko po pieniądze, bo bez nich to nie odbędzie się chrzest ani ślub. To tragiczne, że nawet po śmierci ksiądz, człowiek taki sam jak wszyscy, rozporządza o tym, czy masz prawo być pochowani zgodnie z wiarą, czy nie. Jak ktoś może drugiemu człowiekowi zabronić godnego pochówku? To się nie mieści w głowie. To jest po prostu tragiczne...

Już nie mogło być gorzej, stwierdziłam. A jednak znowu się myliłam...

Minęło jakieś dwa tygodnie od pogrzebu Zuzi. Otóż jednego dnia znowu przybiegła do nas ciocia Basia. Zdyszana i spocona, jak to ona, nasza wiejska informatorka. Była niedziela rano.

- Prędko, chodźcie zobaczyć, co to się dzieje. To już idzie koniec świata, mówię wam!

Pobiegłam za nią, mama za mną, obie trzymałyśmy na rękach dzieci. Ludzie stali na ulicy, w oknach i patrzyli, a mnie w tym samym momencie krew odpłynęła z ciała.

Niedaleko od domu ojciec Zuzi wykrzykiwał najróżniejsze przekleństwa i złorzeczenia. Ale nie to było najgorsze, ale to, co trzymał w dłoni. Biedna ciocia Gosia była przez niego uwiązana na smyczy wokół szyi i na czworakach prowadzona jak pies po drodze.

- Idą do kościoła... - szepnęła ciocia Basia.

Oboje byli pijani. Ale nie tylko. Mieli błędne oczy, szalone...

Dziecko zostawiłam u mamy, podbiegłam do nich i siłą wyrwałam mu smycz z ręki. Płakałam. Nienawidziłam tych wszystkich ludzi gapiących się jakby to był jakiś cyrk. Nienawidziłam, ponieważ wszyscy stali i nikt nic nie zrobił. Tylko się przyglądali.

Ściągnęłam jej smycz z karku i podniosłam z ziemi. Potem nie wiem jaką siłą udało mi się ich zaprowadzić do domu, ale zrobiłam to i zadzwoniłam po doktora. Oni oboje, nie mogąc sobie wybaczyć zaniedbania córki, oszaleli. Nie potrafili się z tym pogodzić. Z jej śmiercią...

Wrócili dopiero po paru tygodniach, zupełnie odmienieni.

Nie ci ludzie. Spakowali wszystko, podjechało wielkie auto, do którego wnoszono kartony i walizki, meble... i tak wyjechali i już nigdy nie wrócili...

Jeśli chodzi o mnie, to życie z czasem unormowało się. Dzieci rosły, ja pracowałam, dużo pomagała mi mama. Robert zaczął nas odwiedzać i z czasem udało nam się na nowo nawiązać przyjaźń. Z czasem zaczęłam rozumieć inaczej. Przecież to nasze życie nie trwa wiecznie, nie mogę pielęgnować urazy do ojca mych dzieci. Tak naprawdę to nawet nic złego mi nie zrobił. Nigdy nie podniósł na mnie ręki, a to że nie potrafił zapomnieć o innym facecie? Zresztą coraz częściej łapałam się na tym, że znowu chciałam się zakochać, poznać kogoś i zacząć wszystko od nowa.

Obserwując dzieci, zauważyłam jak bardzo się różnią między sobą. Straszny był znacznie silniejszy i pewniejszy siebie, wyraźnie górował nad młodszym bratem, często go bił i rozkazywał mu. Mały spełniał jego rozkazy, ponieważ albo się bał albo jeszcze widział w swoim bracie kogoś, kto był dla niego autorytetem. W końcu to starszy brat.

Pewnego dnia, kiedy mały Dawid miał już cztery lata wybrałam się z nim do miasta. Był chory, więc najpierw odwiedziliśmy doktora, potem poszliśmy do sklepu z zabawkami. Chciałam kupić mu zabawkę, których w domu nie było zbyt wiele. Zaprowadziłam go na miejsce, gdzie na regałach stały poukładane różnej wielkości samochody, koparki, czołgi. Niestety żadna z tych rzeczy nie zwróciła jego uwagi. Przeszliśmy dalej i wtedy Dawid stanął jak wryty, nie chcąc iść dalej, wyciągając rękę w stronę

zabawki. Lalki.

- Lalkami bawią się tylko dziewczynki - starałam się mu wyjaśnić, że co jak co, ale lalki przecież mu nie kupię.

Mały upierał się, a kiedy wreszcie zezłościłam się na niego, próbując go wyciągnąć ze sklepu, usiadł na podłodze i zaczął histerycznie płakać.

- Lala - powtarzał w koło.

Spojrzałam bezradnie na sprzedawczynię. Uśmiechała się miło, ze zrozumieniem, pewnie była świadkiem nie jednej takiej sytuacji. W końcu to sklep z zabawkami.

- Kupię ci autko, co? Takie, które będziesz chciał - starałam się go przekonać. Dziecko kiwało głową, na znak protestu. Chciał lalkę i koniec. Więc kupiłam mu tę cholerną lalkę, a kiedy trzymał ją już w ręce, od razu się uspokoił i przestał płakać. Łzy zniknęły jak na zawołanie.

Kiedy przyjechaliśmy do domu, Dawid pobiegł pochwalić się babci ze swojego nowego, okupionego łzami trofeum. Babcia uśmiechała się do niego i głaskała po głowie, a gdy tylko mały pobiegł za bratem, podeszła do mnie z kwaśną miną.

- Czyś ty zwariowała? Czemuś mu lalkę kupowała!?

- Bo chciał! - warknęłam.

- Przecież to chłopak!

- Myślisz, że jestem ślepa?

Mama złagodniała.

- Nie, oczywiście, że tak nie myślę. Ale nie powinnaś mu kupować lalek.

- Kiedy się upierał. Wrzeszczał wniebogłosy na cały

sklep. Musiałam mu ją kupić.

Następnego dnia mama wybrała się do miasta i przyjechała z siatką pełną prezentów, chociaż dzieci nie miały urodzin, co nie zdarzało się często. Z siatki wyciągnęła dwa samochody i kolekcję żołnierzyków. Krystian od razu rzucił się na zabawki, ale Dawid tylko spojrzął i odwróciwszy się na pięcie pomaszerował do swojego pokoju z lalką w dłoni. Nosił ją wszędzie ze sobą od tamtego dnia i nie można mu jej było zabrać, bo od razu dziecko uderzało w krzyk.

Kiedyś Mirka, bo tak się nazywała lalka, zniknęła. W domu było totalne zamieszanie. Dawid płakał cały dzień, a wieczorem dostał wysokiej gorączki i musiałyśmy wzywać lekarza. Dziecko leżało bez życia, gorące jak piec i nie potrafiło nawet unieść ręki.

- Czy nie stało się u was dzisiaj coś, co spowodowało, że dziecko zachorowało?

- N-nie, chyba nie - powiedziałam niepewnie.

- Może czegoś nie dostał? Cukierka? Lizaka? Może coś mu się zgubiło?

Wtedy od razu pomyślałam o Mirce.

- Zgubiła mu się... zabawka. - Jakoś nie potrafiłam powiedzieć, że to lalka.

- O! - powiedział głośniej doktor, unosząc palec w górę. - To może być przyczyną tej gorączki i słabości, bo dziecko przecież jest zdrowe.

- Chce pan powiedzieć, że przez tę zabawkę się rozchorował?

- A jakże! Droga pani, pani nie zdaje sobie sprawy, co

taka zabawka dla tak małego dziecka oznacza. To cały jego świat. Dzieci są niezwykle uczuciowe, jeżeli obdarzają kogoś lub coś miłością, to na całe życie. Musicie odnaleźć tę zabawkę, bo bez niej nic tu nie pomoże.

Doktor odjechał, a my zaczęliśmy przeszukiwać dom od dołu do góry. I nic. Jakby zapadła się pod ziemię. Już nie wiedziałam, co mam robić, kiedy nagle zobaczyłam zaczajonego pod drzwiami obserwującego brata Krystiana. Od razu zrozumiałam.

- Gdzie dałeś tę lalkę? - zapytałam, łapiąc go za rękę i ciągnąc do kuchni. - Mów!

- Nic nie brałem!

- Wiem, że brałeś. Nie kłam, bo pożałujesz!

Byłam wykończona, martwiłam się, że Dawidowi coś się stanie, od przeszukiwania domu brakło mi sił i nie potrzebowałam wiele, żebym wybuchnęła złością lub płaczem.

- Albo powiesz, albo zaraz ci dam na tyłek! - zagroziłam.

- Niczego nie brałem!

Wstałam i podeszłam z nim do krzesła.

- Kładź się.

- Nie mam, nie...

- Powiedziałaś, kładź się sam, bo w przeciwnym razie zrobię to ja i będzie bolało dwa razy mocniej.

Zdjęłam też dla większego efektu kłapek, w którym chodziłam po domu. Znałam dobrze mojego starszego syna. Potrafił męczyć brata, ale jednocześnie bał się bólu, dlatego jeżeli zabrał mu lalkę, wyśpiewa wszystko jeszcze przed

ukaraniem.

- Zakopałem ją w ogrodzie!
- Gdzie?
- Pod jabłonią.

Wybiegłam od razu na świeże powietrze, od którego zakręciło mi się w głowie. Pod jabłonią rzeczywiście zobaczyłam ślady kopania, więc od razu zaczęłam grzebać w ziemi i po chwili Mirka znajdowała się w mojej ręce.

Umyłam ją i poszłam do pokoju Dawida. Kiedy mały ją zobaczył, jego oczy od razu rozbłysły, a pół godziny później nie było śladu po gorączce.

- Z tobą to sobie jeszcze pogadam - pogroziłam starszemu.

Uciekł. Wiedziałam, że nic sobie z tego nie zrobi. On był po prostu inny i zastanawiałam się, po kim odziedziczył tą twardość, przecież nawet Robert nie był człowiekiem znajdującym przyjemność w krzywdzeniu drugich.

Z czasem dzieci coraz bardziej upodabniały się do mnie i Roberta. Krystian był wypisz wymaluj taki jak mój były mąż, zaś Dawid przypominał mnie. Z Krystianem miałam w pierwszych latach szkoły ogrom problemów, ale dzięki Bogu wyrósł z tego, choć kosztowało mnie to wiele nerwów. Dawid był grzeczny i zawsze robił wszystko tak jak trzeba.

Co dziwne, cała wieś zaakceptowała Adama mieszkającego z Robertem, jakby nie było dla nich niczym nowym, że dwoje facetów mieszka razem i razem śpią w tym samym łóżku. Tym samym zrozumiałam, że wszystko zawsze zależy od ludzi. To, co inne, może okazać się zupełnie

normalne i na odwrót, zależy od nastawienia.

Z roku na rok dzieci dorastały, a ja nie mogłam się napatrzeć i nadziwić. Czy ci przystojniacy o blond włosach i niebieskich oczach to naprawdę moje dzieci? To już niemalże dorośli ludzie. Jak ten czas szybko leci...

W kościele dziękowałam Bogu za pojawienie się w moim życiu Roberta. Tak, dziękowałam i może to będzie trudne do zrozumienia. Ale przecież Robert podarował mi najszcześniejsze lata mojego życia. Dał mi też coś, bez czego dziś nie wyobrażałabym sobie życia: nasze dzieci.

Gdy Krystian miał osiemnaście lat, a Dawid szesnaście, zauważyłam, że między chłopakami znowu zaczyna dziać się źle.

Mama wyraźnie się postarzała, już nie tak często chodziła do kościoła. Teraz coraz bardziej coś ją bolało, niemal codziennie skarżyła się na łupanie w krzyżu, ból tu, ból tam...

Każdego roku obserwowałam uważnie spadające liście z naszych owocowych drzew, a wiosną znowu ich zakwitanie. I my ludzie byliśmy jak te drzewa w sadzie, zmienialiśmy się, marnieliśmy na zimę, a na wiosnę rozkwitaliśmy, choć z roku na rok każdego z nas coraz głośniejszy przywoływała matka ziemia...

Jednego z tych gorszych dni Krystian zaatakował nożem Dawida.

- Niech się więcej do mnie nie zbliża - zagroził.

Nie rozumiałam, co się między nimi dzieje. Dorastali, to fakt. Ale żeby jeden na drugiego z nożem? Nie tak ich

wychowywałam.

- Jeżeli jeszcze raz skoczysz na niego z nożem, to możesz wiedzieć, że nie ujdzie ci to płazem! - zagroziłam. - Dopóki jesteś moim dzieckiem, nie będziesz podnosił ręki na drugiego człowieka!

Dawid zamykał się w sobie, często znikał z domu i choć w szkole nie było z nim żadnych problemów, to jednak nie podobało mi się całe to jego wyciszenie.

A potem zaczęły się awantury.

Nagle Krystian zaczął jeździć na dyskoteki, Dawid znikał na całe długie wieczory. Martwiłam się o nich. Często siadywałam w oknie i czekałam, obserwując przez firanę, czy czasem nie nadchodzą drogą. Bałam się, że coś im się stanie. Przecież na świecie tyle zła. Ciągle słyszy się, że kogoś porwali, zabili, pobili... nie chciałam, żeby moim dzieciom stało się coś złego. Dlaczego oni nie chcieli siedzieć w domu?

Kiedy prosiłam ich by wracali wcześniej, od razu robiło się źle.

- Ciągle nas kontrolujesz!
- Zostaw nas w spokoju!
- Jesteśmy facetami!
- Daj nam żyć!

Zaczęliśmy się codziennie wyklócać, nieustannie toczyliśmy słowne walki, ale nic to nie pomagało. Jakby to nie były moje dzieci. Nie potrafiłam do nich dotrzeć. Z czasem, choć to może nie był najlepszy sposób, zaczęłam nawet grozić. Ale również to nie pomogło.

- Zrób coś z nimi - prosiłam Roberta.

- Oni mnie nie posłuchają. Nie mam dla nich żadnego autorytetu, sama dobrze o tym wiesz. Liczy się tylko twoje słowo.

I miał rację, bo nic to nie pomagało, po obu chłopakach wszystko spływało jak woda.

Dopiero teraz rozumiałam swoją matkę tak naprawdę. Te wszystkie kontrole, które stosowała w domu, to nieustanne śledzenie mnie, siedzenie mi na piętach, wypytywanie dokąd idę i z kim, o której wrócę... to wszystko miało sens! Mama martwiła się o mnie jak ja teraz martwiłam się o swoje dzieci. Tak, teraz naprawdę rozumiem swoją matkę...

I wtedy, tego fatalnego dnia zdarzyło się coś, co myślałam, że już nigdy więcej się nie powtórzy.

Wracałam z pracy uginając się pod ciężarem dwóch siatek z zakupami. Tego dnia coś kazało mi zmienić drogę i poszłam do domu przez mały las, na skróty. Nie chodziłam tamtędy często, bo chociaż nie należałam do tych strachliwych, to las nigdy nie wpływał na mnie pozytywnie.

Gdzieś w połowie drogi zauważyłam cień stojącego człowieka pod drzewem. Przestraszona spojrzałam w tamtą stronę i zamarłam. Mój Dawid obejmowany przez wysokiego mężczyznę z łysiną, całował się z nim zapamiętale, jakby świata poza nim nie widział. Zakupy wypadły mi z rąk. Mimowolnie z moich ust wyrwał się jęk. Oboje odwrócili się. Dawid zmartwiał na twarzy, widziałam strach rysujący się w jego oczach, widziałam też rękę nieznajomego wyciąganą pośpiesznie z jego spodni. Zabrało mi mowę. Nie byłam w

stanie nic powiedzieć. Ja... myślałam, że śnię, że to jakiś koszmar, z którego za chwilę się obudzę, że może coś sobie wyobraziłam, że to nie Dawid i...

Zostawiłam siatki, z których wysypały się zakupy i pobiegłam przed siebie. Nie mogłam na to patrzeć. To jakaś paranoja. Miałam kolejny raz ochotę rzucić się pod pociąg, zakończyć życie. Bo po co mi żyć? Po co ja całe życie harowałam, karmiłam go i kochałam? Po to, żebym potem stwierdziła, że mój syn jest pedałem takim samym jak jego ojciec? Ja... ja wreszcie miałam dość!

Po powrocie do domu zamknęłam się w pokoju, wzięłam butelkę wódki i piłam. Nie reagowałam na pukanie mamy, na jej wołanie, wyłączyłam się i w tym czasie przestałam istnieć dla świata. Po raz pierwszy w życiu załamalam się naprawdę i dogłębnie. Byłam w stanie myśleć wyłącznie o sobie, o swoim losie, o Bogu, którego teraz nienawidziłam z całego serca. Postanowiłam, że moja noga nie postanie już w żadnym pieprzonym kościele. Bo jeżeli tak ma wyglądać moje życie, jeżeli taki jest ten miłosierny Bóg, to ja to mam wszystko w dupie!

Wódka nie zagłuszyła moich żalów i bólu. Wręcz przeciwnie, wszystko pogorszyła. Tego dnia zachorowałam. Siedziałam skulona na tapczanie, z nogami pod brodą i obejmując je rękami, kiwałam się w tył i w przód. Jakbym miała sierocą chorobę. Ale czułam się dziś sierotą, człowiekiem opuszczonym, dzieckiem bez ojca, na którego nawet kątem oka nie spojrzy Bóg. Jak bardzo chciałam żeby ludzkie ciało działało na baterie, które można by było

wyciągnąć, gdy najdzie nas ochota. Wyłączyć się. Niestety, nie było to takie łatwe...

Nieustannie chodziło mi po głowie pytanie: dlaczego ja? Siedziałam kiwając się i obejmując ramionami, płacząc i pytając Boga, dlaczego mnie to wszystko spotyka? Czy nie mogę mieć normalnego życia? Dlaczego jeden zasługuje na lepsze życie a drugi nie? DLACZEGO?!

Nie przespałam całej nocy. Nie poszłam do pracy. Nie wyszłam z pokoju, choć mama nadal pukała co chwila, groziła i błagała.

Dopiero wieczorem, kiedy zaszło już słońce, poczułam głód. Wyszłam do kuchni, usiadłam przy stole a mama przygotowała mi jedzenie. Teraz o nic nie pytała, była zadowolona, że w końcu wyszłam. To jej wystarczało.

Gdy do kuchni wszedł Dawid, od razu zeszywniałam. Nie mogłam na niego patrzeć. Po prostu nie mogłam...

- Mamo... - odezwał się.

- Nie chcę z tobą mówić! - powiedziałam z sykiem. - Nie chcę cię nawet wiedzieć, bo robi mi się od twojego widoku źle!

Wybiegł z kuchni i zatrzasnął drzwi.

- Nie powinnaś tak do niego mówić... - upomniała mnie mama.

- Nie mogę inaczej...

- To nie jego wina, że jest jaki jest! - powiedziała oskarżycielsko, podnosząc na mnie głos i zatrzymując się w miejscu.

Nie mogłam uwierzyć, że to mówi. Że ma do mnie

pretensje, jak się odzywam do własnego dziecka, które... które okazało się być pedałem, tak samo jak jego ojciec. Rozumiałam, że kochała wnuki i życie by za nie oddała, ale żeby teraz stawać przeciwko mnie...

- Ty... wiedziałaś?! - zapytałam oszołomiona, wbijając w nią wzrok.

- Wiedziałam. Już dawno to podejrzewałam...

- I nic mi nie powiedziałaś?!

- A co by to zmieniło? Myślałam zresztą, że wiesz, przecież masz oczy i trochę doświadczenia w tych sprawach...

- Przestań!

- Wiesz? Dziwię się, że przez tyle lat, po tym wszystkim co się przydarzyło mnie a potem tobie, ty nadal nie nauczyłaś się patrzeć na świat szeroko otwartymi oczami. Nie można chować głowy w piasek. Nie jesteś strusiem, do cholery!

- Nigdy nie chowałam głowy w piasek - krzyknęłam na nią. - Staralam się tylko... tylko...

- Nie dopuszczać do siebie pewnych myśli, czy tak?

- Tak, właśnie.

- A więc to to samo, co chowanie głowy w piasek!

- Jesteś okropna! - powiedziałam z wyrzutem.

- To ty jesteś okropna! Przypomnij sobie co przed chwilą powiedziałaś swojemu synowi. Będę zdziwiona, jeśli ci kiedyś wybaczy...

- Wybaczy? On mnie ma wybaczać? To, że chciałam dla niego lepsze życie? To, że nie chciałam, aby był pedałem jak

jego ojciec? Całe życie się o nich martwiłam, bałam, drżałam na myśl, że przyjdzie taki dzień i kiedyś okaże się, że jedno z nich, albo nawet oboje są tacy sami jak ich ojciec!

W tym samym momencie Dawid stanął w drzwiach, cały zapłakany. Spojrzałyśmy na niego odruchowo, ale było za późno, żeby cokolwiek powiedzieć, ponieważ odwrócił się i uciekł, trzaskając drzwiami wyjściowymi.

- Boże... - chwyciłam się za twarz. - Po co to mówiłam...

- Kiedyś musiał się dowiedzieć, więc dlaczego nie teraz.

Przyszedł Krystian.

- Co tu się dzieje, czemu beczysz?

- Nie... - chciałam mu wygarnąć, ale mama mnie uprzedziła.

- Właśnie się dowiedziała, że Dawid... jest inny.

- Co? - syn popatrzył na mnie i roześmiał się głośno. - Teraz? Przecież myślałem, że o tym wiesz?

- Nie wiedziałam!

- Ale lalki mu kupowałaś!

- To coś zupełnie innego!

Po chwili doszło do mnie coś, na co z początku nie zwróciłam uwagi.

- Ty też wiedziałeś?

- Oczywiście. Na jakim świecie ty żyjesz?

Nie mogłam się powstrzymać przed kolejnym pytaniem.

- Czy ty też... no wiesz?

- Czy jestem pedziem?

- Nie bądź wulgarny!

- Proszę cię! Nie histeryzuj.

- Więc?

- Nie. Nie jestem. Zadowolona?

Odetchnęłam. A więc przynajmniej jeden...

- Gdzie on poszedł?

Nagle dotarła do mnie cała ta sytuacja. Musiałam zachować się okropnie. Matka z dwudziestoletnim stażem, robiąca awantury dzieciom, płacząca przed nimi i wyzywająca...

- Pewnie tam, gdzie zawsze...

- To znaczy?

- Do ojca...

Poczułam się tak, jakby ktoś dał mi w twarz. Do ojca? Tam gdzie zawsze? Czyli, że chodzi tam często, a ja nawet o tym nie wiem? W jakim świecie ja żyję? Co ze mną nie tak, że nie wiem nawet, gdzie przebywa mój syn?

- Pójdę tam. Muszę z nim pogadać...

- Zostaw, czekaj - powiedziała mama. - Daj im chwilę dla siebie. Niech pogadają, na ciebie też przyjdzie czas. Nie wszystko na raz. Już i tak sprawy zaszły za daleko.

Miała rację. Moja mama we wszystkim miała rację.

Dawid pojawił się w domu wieczorem. Byłam już wtedy odświeżona i jakoś doszłam do siebie. Czułam się głupio, takich scen nie wstydziłaby się nawet Krystyna Janda na deskach teatru, jednakże ja nie byłam aktorką. Ja byłam matką, a tu nie było miejsca na grę.

- Jak u taty? - zapytałam, wchodząc do jego pokoju. Spojrzał na mnie i skinął głową, wzruszając ramionami. Oboje wyczuliśmy, że jesteśmy przygotowani na złożenie

broni.

- Dobrze. Dużo rozmawialiśmy...

Zebrałam się w sobie po krótkiej ciszy.

- Wiesz, nie powinnam tak się do ciebie odnosić dzisiaj... mam nadzieję, że starej matce wybaczysz.

- To ty powinnaś wybaczyć mnie, że ci nie powiedziałem. Tata mówił, że nawet najgorsza prawda nie jest dla matki tak naprawdę najgorszą. Że matki są silne i wiele zniosą. I że ty jesteś wyjątkową matką...

- Tak powiedział? - zrobiło mi się ciepło na sercu, choć słowa te zaboląły. Czy to, że jestem wyjątkową matką, oznacza że mogę cierpieć więcej?

- Tak, dokładnie tak. Tata cię kocha, wiem o tym. Wiem też, że kocha Adama, ale ciebie nigdy nie przestał kochać. Powiedział, że oprócz ciebie nie miał już żadnej innej kobiety. Byłaś dla niego jedyna...

W oczach stanęły mi łzy i wkrótce nie mogłam ich zatrzymać.

- Twój tata również dla mnie był tym jedynym, jak widzisz nie znalazłam sobie nowego męża. Chyba za bardzo go kochałam.

- Tata powiedział, że kochasz mnie bardziej niż Krystiana. To dlatego tak to przeżywasz, bo cierpisz mocniej. Ale że ci przejdzie i znowu będzie dobrze.

- Będzie dobrze. Już mi nawet przeszło. Byłam... byłam za bardzo zabiegana, za mało czasu poświęcałam wam, a coraz więcej pracy. Widzisz, nie robię się młodsza z wiekiem, teraz jestem prawie czterdziestoletnią kobietą, a życie w

samotności nie jest dobre dla nikogo. Ludzie gorzknieją, kiedy nikt ich nie przytula każdej nocy, kiedy nie mają sobie z kim pogadać...

- Ze mną możesz mówić o wszystkim...

- Wiem...

Mówiliśmy przez chwilę, czasem coś wspominaliśmy, potem nagle siedzieliśmy przy lampce wina, w końcu mój syn miał już dosyć lat a trochę wina nikomu nie zaszkodzi.

- Jak się o tym dowiedziałeś? - zapytałam.

- Ja się nie dowiedziałem, mamó. Ja o tym wiedziałem zawsze. Już od dziecka.

- Naprawdę?

- Tak. To tak samo jak ty. Wiedziałaś, że kiedyś wyjdiesz za mąż za faceta, ja nie myślałem, że wyjdę za mąż - tutaj się oboje roześmialiśmy - ale wiedziałem, że kiedy dorosnę, chcę mieć u boku faceta, nie kobietę.

Więc ludzie naprawdę się z tym rodzą, pomyślałam. Bo już się bałam, że może byłam zanadto opiekuńcza, za bardzo mu matkowałam, za wiele pozwalałam. Może ta lalka, Mirka, za to mogła... ale nie, on to przecież wiedział od zawsze.

- A pamiętasz jak Krystian dźgnął mnie nożem? - zapytał.

- Pamiętam. Wygłupialiście się.

- On się dowiedział, że jestem.. inny. Chciał mnie zabić.

- Jezus Maria - wykrzyknęłam, zakrywając usta dłonią.

- Nie martw się. Teraz już jest dobrze. Nawet mi powiedział, że gdyby ktoś mi coś zrobił, to on skurwiela zabije.

- To dobrze. Tak ma być, bracia się mają trzymać razem,

a nie zabijać. Choć oczywiście, nie możecie nikogo zabić, co to, to nie.

- Nie będzie tak źle...

- Mam nadzieję...

I tak przegadaliśmy pół nocy. I choć jeszcze jakiś czas zabrało mi zaakceptowanie nowej sytuacji, stawiałam temu czoło. Matka zawsze zrozumie i przyjmie dziecko takie jakim jest. Ja nie byłam inna...

Moje życie, jak się zastanawiam, często było wywracane do góry nogami. A jedna sprawa od lat nie dawała mi spokoju. Postanowiłam odszukać księdza Andrzeja, porozmawiać z nim. Chciałam mu powiedzieć, że jestem, że wiem, że on jest i podziękować mu za wszystko. Bo nadal pamiętałam tamte dni, ludzi wykrzykujących obelgi pod jego adresem i pustkę po jego odejściu. Potrzebowałam zakończyć ten etap, trwający tak wiele lat. Ponieważ, trzeba mi przyznać, ksiądz Andrzej nigdy nie opuścił moich modlitw i myśli. Dobrych ludzi się zawsze długo pamięta, taka jest prawda.

Popytałam na plebanii i dowiedziałam się, że ksiądz Andrzej obecnie znajduje się w Lublinie. Napisałam do niego list. Otrzymałam szybką odpowiedź, że nie mam zwlekać, mam przyjeżdżać. Więc spakowałam się i pojechałam. Oczekiwał mnie na przystanku autobusowym, taki stary człowiek, z posiwiałą głową i twarzą pokrytą pajęczyną zmarszczek.

Udaliśmy się na jego probostwo. Mieszkał tu już prawie dwadzieścia długich lat. Poprosił, aby przyniesiono nam

kawę i świeżo upieczone ciastka. Usiedliśmy w jednym z pokoi plebanii, wymalowanym na biało, z wielkim obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej, regałem z książkami i zegarem głośno odmierzającym czas. W pokoju tym był tylko jeden kwiat w doniczce, filodendron i okno zasłonięte białą nakrochmaloną firanką.

Rozmawialiśmy o tym, jak się nam obojgu wiedzie. Ksiądz pytał co nowego wydarzyło się w naszej parafii, kiedy nagle drzwi otworzyły się i weszła kucharka niosąca kawę zaparzoną w dzbanku, z dwiema filiżankami i ciepłymi rogalikami. Spojrzałam na kobietę i zdziwiłam się bardzo.

- Kornelia? - zapytałam niepewnie, nie mogąc uwierzyć w to co widzę.

- Anka? - również ona wydawała się zdziwiona naszym spotkaniem.

Tak oto spotkałam Kornelię po tych wszystkich latach. Oczywiście postarzała się, ale była to ta sama osoba, którą znałam wcześniej, choć teraz zdawało mi się, że w innym życiu.

Za pozwoleniem księdza Andrzeja usiadła przy nas. Dowiedziałam się, że po wyjeździe do ciotki nie potrafiła znaleźć sobie miejsca. Urodziła dziecko, Macieja, ale po porodzie wpadła w depresję i niewiele brakowało żeby tego wszystkiego nie zakończyła. Napisała list do księdza Andrzeja. Jak ja, darzyła go szacunkiem i zaufaniem, dlatego poprosiła o pomoc. Ksiądz Andrzej jednak został wydalony i wysłany do odległego Lublina, gdzie otrzymał małą parafię, w której przebywał aż do dziś. Zaprosił ją do siebie i od

tamtego czasu została gospodynią na plebanii. Pozwolono jej także wychowywać swojego syna, który dzisiaj był już również dorosłym człowiekiem, jak mój pierwszy syn.

Nie potrafiłam w to wszystko uwierzyć. Przyjechałam taki kawał drogi do księdza, a spotkałam dawno utraconą koleżankę ze szkolnych lat. Widziałam w niej pewną zaciętość, to życie ją naznaczyło, kiedy musiała walczyć o przetrwanie swoje i dziecka, którego nie chciała się pozbyć. Kochała go i jakkolwiek był owocem grzechu, stwierdziła, że nie może odpowiadać za grzechy rodziców. Udało jej się stanąć na nogi. Podziwiałam ją i miałam łzy w oczach, kiedy wreszcie wyszła, pozostawiając nas samych, miała bowiem przygotować dla nas obiad, na który oczywiście zostałam zaproszona.

Opowiedziałam księdzu o swoich problemach, poczynawszy od jego wyjazdu. Na końcu zadał mi takie pytanie:

- Czy twoje dzieci są zdrowe?

- Tak.

- W takim razie powinnaś się cieszyć z tego, co ci dał Bóg. To, jaką orientację ma dziecko, nigdy nie powinno mieć wpływu na naszą miłość. Nie możemy odwracać się od kogoś, kto czuje tak samo jak my, i kogo równie łatwo można skrzywdzić, często na całe życie. Zranić możemy łatwo, zaleczyć ranę, to już jest znacznie dłuższy proces i niestety, nie zawsze kończy się powodzeniem. Masz zdrowe dzieci, więc dziękuj Bogu, że był dla ciebie łaskawy, jak łaskawy był również dla Kornelii. Zdrowie w życiu jest najważniejsze. Nie to, kto komu się podoba, kto jak chce żyć

i kochać. Ponieważ jeżeli żyjemy w zgodzie ze sobą, żyjemy również w zgodzie z Bogiem. Bóg kocha nas wszystkich i jest miłosierny. Stwarza nas takimi, jakimi jesteśmy. To prawda, możemy nad sobą pracować, starać się coś zmieniać, poprawiać, bo przecież człowieka ciągnie do doskonałości. Ale pewnych rzeczy człowiek, choćby się nie wiem jak starał, nie zmieni. Pewnego dnia przyszła do mnie młoda kobieta. Umierająca. Całe życie bała się śmierci, a kiedy wykryto u niej raka w zaawansowanym stadium, załamała się. Nagle ten strach ją przerósł i w niczym jej nie pomógł, bo śmierć czaiła się tuż za rogiem. Nie wiedziała, co ma ze sobą zrobić, jak dalej przeżyć te ostatnie dni. Przyszła tu i płakała, prosiła o wskazanie odpowiedniej drogi. A wiesz, co jej odpowiedziałem?

- Nie...

- Odpowiedziałem: przyjmij to, co ci daje Bóg. Zaakceptuj to. Nie zadręczaj się złymi myślami, nie bój się i nie martw. Po prostu zaakceptuj, a kiedy już uda ci się to uczynić, Bóg ześle na ciebie spokój. A to jeden z największych darów: spokój poprzez akceptację - chwycił mnie za rękę i kontynuował: - Kobieta ta przestała się bić z sobą, zaakceptowała to, co jej było dane i sprawdziło się, co jej powiedziałem: odzyskała spokój ducha. Już nie bała się śmierci, a życie stało się lżejsze, bardziej znośne. I chociaż nie było jej dane zbyt długo pozostać na tym świecie, dziękowała Bogu za to, co od niego dostała. Dziękowała za te dwadzieścia dziewięć lat zdrowego życia.

Nastała cisza. Tylko ksiądz Andrzej potrafił tak do mnie

przemawiać. Znowu poczułam się małą dziewczynką w salkach, młodą kobietką podczas naszych spacerów. Nagle cofnął się czas.

- Teraz rozumiesz, co ci chcę przez to powiedzieć?

Skinęłam głową, rozumiałam.

- Zaakceptuj syna takiego, jakim jest, a osiągniesz spokój. Przecież kiedyś udało ci się pogodzić z myślą, jaki jest twój były mąż. Teraz musisz podjąć te same ważne i odpowiedzialne kroki. I nie chodzi tu tylko o ciebie, ale chodzi również o to dziecko. A wiesz dlaczego musisz się poświęcić? Zrozumieć? Pogodzić się? Ponieważ na tobie właśnie ciąży największy obowiązek dany ci przez Boga: ty jesteś MATKĄ. A matka zawsze dźwiga najcięższy krzyż z całej rodziny. Dobra kobieta, matka, jest kręgosłupem tego świata. Dlatego otwórz serce, umysł. Nie zamykaj się na świat. Pogódź się z losem i proś Boga o dalsze lata życia w zdrowiu. Bo największymi darami, oprócz dzieci, jakie daje nam Bóg, są wiara i zdrowie. To wszystko razem współgra. Bez jednego, nie ma drugiego.

- Dziękuję...

- I jeszcze jedno. Nigdy nie patrz na ludzi. Ludzie często oskarżają, wytykają palcem, choć sami robią o wiele gorsze rzeczy. Zawsze najlepiej jest wyśmiać kogoś niż siebie, wytknąć palcem, pokazać wszystkim, że ten drugi czyni źle i jest kimś gorszym. A to nigdy do niczego dobrego nie prowadzi. Zawsze patrz na siebie, na swoją rodzinę. Żyćcie w zgodzie sami ze sobą, a będzie dobrze. Tak musi być.

Znowu pokiwałam głową. Pomimo zmarszczek na twarzy

i małych ciemnych plam na rękach, ksiądz Andrzej nie zmienił się. Powinien zostać w naszej parafii, niestety nie było mu to dane, a my straciliśmy człowieka, który mógł nam bardzo pomóc. Powiedziałam mu to.

- Widzisz, w tamtych czasach rzeczywiście przyłapano mnie z mężczyzną. Przez wiele lat łączyło nas uczucie, które nigdy nie zostało skalane pożądaniem cielesnym. Ludzie nie wiedzieli, o co naprawdę chodziło, jak było. Od razu zaczęli dmuchać w ogień, którego nawet nie było. I tak rozpętała się burza. Oczywiście, w pewnym sensie mieli rację, ale w wielu sprawach się mylili. Teraz już nic tego nie zmieni.

- Przykro mi, że tak się wtedy stało.

- I mnie bywało przykro, ale Bóg zesłał mnie tu i zrozumiałem, że tak właśnie miało być. Gdybym tu nie przyjechał, nie pomógłbym Kornelii ani tym, którzy tu za mną przychodzą. Może ci tutaj więcej mnie potrzebują... nie wiem, pozostawiam to wszystko w rękach Boga.

Zasiedliśmy do stołu, zjedliśmy pyszny, ale skromny obiad, po którym udałam się z Kornelią na przechadzkę. Opowiadała mi o swoim życiu, o synu będącym jej oczkiem w głowie, choć żałowała, że już tak bardzo dorósł. Niebawem wyfrunie z gniazda, jak to bywa z dziećmi. Ja opowiedziałam jej o sobie.

W pewnym momencie przechodziliśmy obok małego boiska. Grało tam w piłkę sześciu chłopaków. Jeden z nich kopnął piłkę dokładnie w naszą stronę. Jakiś chłopak odwrócił się, zauważył nas, kiwnął ręką i podbiegł.

- Dzień dobry - powiedział, uśmiechając się do mnie

szeroko.

Był to niezwykle uroczy i przystojny młodzieniec, wyglądem bardzo przypominał mi Adama, no ale nie było się co dziwić. Po chwili pobiegł z powrotem do chłopaków a my poszłyśmy dalej.

- Wiesz, gdy tak patrzyłam na twojego syna, po rozmowie z księdzem Andrzejem... jakby czas się zatrzymał, jakby nagle zawrócił. Przez parę chwil znowu poczułam się jak dawniej.

- Ja tak mam często. Zawsze gdy patrzę na Macieja. Przypomina mi Adama, wiesz te wszystkie czasy, gdy byliśmy młodzi. Nasze plany...

- Czemu się nie odezwałaś więcej? - zapytałam, przystając nagle i wpatrując się w nią oczekująco.

- Może się wstydziłam? Że cię okłamałam? Może czułam wstyd z powodu tego, co mnie spotkało? Było wiele takich czynników...

- Dzięki Bogu, udało ci się...

- Czy ja wiem... Maciej za chwilę znajdzie sobie kogoś, ja nadal nikogo nie mam i raczej już mieć nie będę...

- Ja też nikogo nie mam...

- Ale trzeba jakoś nauczyć się żyć.

- Masz rację. Trzeba nauczyć się żyć.

Patrzyłyśmy na siebie stojąc za boiskiem w polu. Wiatr targał nasze włosy, gdzieniegdzie już poprzetykane siwymi włóknami. Wokół naszych oczu pojawiały się już pierwsze, ledwo dostrzegalne zmarszczki. Za paręnaście lat ciało powoli zacznie pochylać się w stronę ziemi. Patrzyłyśmy

sobie w oczy: tylko one się tak naprawdę nie zmieniły, pozostały takie same. W tych oczach widziałyśmy nasze odbicie. W tych oczach widziałyśmy życie i siebie sprzed trzydziestu lat, kiedy wszystko jeszcze było przed nami i nie czułyśmy się obco. Nigdy nie zapomnę tego niezwykłego dnia...

Kiedy wracałam do domu, siedząc w pociągu, patrzyłam przez wielkie okno na mijane miasta. Wiele wtedy rozmyślałam. Wspominałam rozmowę z księdzem, z Kornelią, a potem nagle zza chmur wyjrzało słońce.

Nagle uniosłam wysoko głowę. Dumnie. Może jeszcze trochę wyżej...

Zrozumiałam jedno: życie bywa krótkie, ale czasem wydaje nam się, że jest niezmiernie długie. Nasze życie ucieka szybko i z roku na rok mamy mniej czasu. Na co? Na naukę. Bo człowiek, nawet ten stary, nieustannie musi się uczyć. Każdego dnia należy czerpać z życia ile tylko się da. Należy patrzeć dumnie na świat, cieszyć się z małych rzeczy, nawet z tych najzwyczajniejszych, chociażby z tego, że właśnie dzisiaj świeci słońce. Bo iluż ludziom nie dane jest oglądać światła dnia? Są niewidomi, którym zabrano przy jakiejś okazji wzrok, są chorzy i są umierający, tęskniący do jednego promyka słońca. Ja jestem zdrową kobietą, o dwóch silnych nogach, którymi zamierzałam jeszcze wiele w życiu przejść. Uniosę każdy krzyż, byle tylko nogi były sprawne, byle tylko miały siłę iść.

Czułam na skórze promienie ogrzewającego mnie słońca. Jak miło...

Uczyłam się będąc dzieckiem, uczyłam się będąc żoną, potem matką. Teraz uczę się, ponieważ jestem rozwiedzioną kobietą. Ale czy samotną? Nie, ponieważ mam jeszcze mamę, mam dwoje pięknych i zdrowych dzieci, w jakiś sposób mam przy sobie nawet swojego byłego męża. Mam serce, które bije każdego dnia i napełnia mnie siłą. To piękne uczucie, kiedy krew krąży nam w żyłach.

Wiem, że będę uczyła się jeszcze długie lata.

I wiem też, że nigdy nie nauczę się tego wszystkiego, co ważne.

Wiem, że kiedy umrę, będę znowu kiedyś chciała wrócić na ten świat, ponieważ nauka, choć ciężka, robi z nas prawdziwych ludzi, kształtuje. Życie jest naszym największym i najwytrwalszym nauczycielem.

Wiem również, że kiedy przyjadę dziś do domu najpierw przygotuję kolację, potem zaproszę mamę i Roberta z Adamem, poproszę synów, by tego dnia z nami usiedli do stołu.

Dzisiaj będzie Wigilia.

Ale nie taka jaka bywa w grudniu. Nie.

Dziś będzie Wigilia nas wszystkich żyjących. Nasze święto.

Uczymy to, że żyjemy...

Że razem przeżywamy dobre i złe chwile...

Że razem się uczyliśmy.

Dziękuję ci, Boże, bo wiem, że jesteś gdzieś tam, dokąd kiedyś wrócę, dokąd wracamy wszyscy, bo przecież nie pojawiliśmy się znikąd.

Dziękuję ci, Boże, za każdy dzień mojego życia, kiedy dane mi jest uczyć się na scenie twojego teatru zwanego życiem.

Dziękuję za tych wszystkich ludzi, jakich postawiłeś na mojej drodze. Bo bez nich... tak, bez nich nie byłoby dziś mnie...

Salut! Za zrozumienie. Za akceptację. Za życie!